



41030

PSIA BUDKA

(PRZYGRYWKA POD POZYTYWĘ)

NAPISAŁ

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WARSZAWA

Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.

1883.

33-870
—
80



Доволено Цензурою.
Варшава 17 Февраля 1883 года.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-830 Warszawa
Tel. 26-88-83, 26-52-31 w. 42

868

<http://rcin.org.pl>

FILIPOWI WESOŁOWSKIEMU

Doktorowi Medycyny

W DŁUGU NIESPŁACONEJ DOTĄD WDZIĘCZNOŚCI

POŚWIĘCA

AUTOR.

I.

Z pałaców sterczących dumnie, z korалowych ust kochanki, z gwiazd omdlałych i drżących promieni księżycą, znijdź, Poezyo!—na ziemię. Lecz wybacz, o! wybacz trzy razy! Wybacz, że Cię nie wzywam złotobrzmiącemi strunami lutni; że w dzień biały roztwieram do Ciebie ramiona i że Ciebie — o wybacz! do psiej zapraszam budki.

Prawda! dziwne zaprosiny —
Ale się przekonasz wkrótce,
Że rzuciwszy gwiazd krainy,
Łosem Twoim żyć w psiej budce.

Ha! czasy się zmieniły!

Niedawno jeszcze — pamiętam dobrze! na romantycznych strunach dawnych wieszczów zagrałem. Bohaterowi rzuciłem na ramiona płaszcz rycerski i włożyłem mu do serca miłość jak brylant czystą, tak czystą, że pocałowaniem ust swoich nie splamił białej szaty kochanki. Nie dokończyłem pieśni — zimną mnie wodą oblano.

Hej! zle się uwijać z lutnią — przebrzmiały to instrument! Na stepach serdecznej mojej Ukrainy posłyszysz jeszcze choć ochryply dźwięk liry—ale na szerszym świecie, w stolicach ba! i miastach powiatowych ten niewdzięczny instrument zastąpiła już dawno — pozytywa. Więc —

Żegnaj! o lutni złota! idź — droga szczęśliwa —
Idź dawnych trubadurów kochanko skrzydlata —
Miejsce Twoje zajęła skromna pozytywa,
Odbierając dziś hołdy i oklaski świata.
Może z tem będzie lepiej! Zbyt słońca i woni
Niosłaś Ty oczom naszym i piersi człowieczej —
Dawałaś sny błękitne — świat gadał od rzeczy,
Sny goniąc, pewny był, że życie samo goni.
Lecz cicho! coś mi szepecesz... Wiem! nie chciałaś ludzi,
Nie chciałaś dawać życia wiernych malowideł —
Zadaniem Twojem było z ciężkiego snu budzić
I smutnym duchom ziemi dodać rajskich skrzydeł.
Chciałaś dobrej piastunki wziąć na siebie rolę,
Senne bajki dziecięciu gadać do spowicia;
Znając bóle ludzkości, koić pieśnią bóle,
Pośród krwawych mąk życia, być osłodą życia.
Gdy po dniach prac zawodnych ziemskiego padołu
Męczennik ujrzy wszystkie nadzieje rozwiane,
Tyś chciała pocałunkiem być blademu czołu,
W zerwane nici szczęścia pleść wieńce różane —
I chciałaś w zwątpień dobie być wiary promieniem,
Stać nad czołem zmarłego niby gwiazda złota —
Chciałaś tylko być pieśnią i blaskiem i tchnieniem,
Długim, wielkim oddechem wśród pracy żywota.
Tak — Tyś była marzeniem! Ty promienie złote
Kładłaś pod barłóg nędzy niby pościel białą —
Byłaś Marzą — lecz Ciebie świat wziął za Istotę,
I Ciebie — niecielesną, chciał przyodziać w ciało...
Więc klatwę snom twym posłał.. Dziś nowe bożyszcze

Potarga sploty kwiatów i blaski uludne—
Nie wwidzie ducha marzeń na gruzy i zgliszcza:
Życie brudne — niech ludzie i sny mają brudne!
O żegnaj, Lutni złota! Dziś z innego zdroju
Potrzeba natchnień czerpać do realnych pieni —
Precz!.. widmo fantastyczne z blasków i promieni,
Dawnych wieszczów kaplanko i kochanko moja!..

Krzyżyk na drogę i — *finita la comedia!*... Ale mi tęskno i smutno jak po pożegnaniu się z starym przyjacielem, po rozstaniu z kochanką. Zdaje mi się, że mnie samego część ubyło, że z odlotem widma uroczego ubyło woni i blasków, jakby się naraz zawarły wszystkie kwiatów kielichy i słońce przygasło. Łzy kręcą się w oczach i w sercu — głupiol!..

Tu podziękować sam sobie muszę za ten wyraz ostatni, nie poetyczny wprawdzie, ale na miejscu. Wyrwał mi się w sam raz, bo może popuściwszy wodze żalowi zapiałbym jakiś poemat fantastyczny, i was, czytelnicy, przez tęczę i mgły perliste, poprowadził w krainę malin i róż zamiast do przyobiecanej — psiej budki. Ten wyraz jeden przywołał mnie do porządku.

Na przestronnym dziedzińcu dosyć porządnie zabudowanym ze stajniami, kuchnią i wcale nie złym domem mieszkalnym, po za którym wznosiły się wspaniałe drzewa ogrodu — koło plotu walącego się już gdzieniegdzie, stała, z nieociosanych berwion brzoźowych, w kształt piramidki zlepiona i słomą pokryta — psia buda. Mieszkańcem tego, bez szyb kryształowych pałacu, był kundys prosty, opasły, maści szaro-czerwonej, z włosem wełnistym i puszystym,

ogonem naderwanym nieco w końcu. Wyraz fizyognomii miał miły, oczy błękitne, sentymentalne trochę, na szyi kudłatej, do której nieproszone poprzyczepiały się suche główki bodiaków, świeciła obroza z zielonej skóry, spięta klamrą stalową. Przed drzwiami bez podwoi swojego mieszkania siedział i dumał. Ale że dzień był upalny, przeszkadzały mu w marzeniach komary i muchy, tak, że co chwila musiał trzepać uszami, prychnąć czasem nosem lub szeroką łapą po pysku się uderzyć, odpędzając owad natrętny. Mimo tej jednak dystrakcyi widać było, że wątek marzeń się nie rwał. Głowę miał nieco podniesioną i wzrok utkwiony w jakiś punkt daleki. Widocznie marzył, romantycznie może, bo choć nie często ale ciężko wzdychał i nozdrza rozdymał jakby jakąś woń miłą całemi płucami wciągał. Co było przedmiotem jego myśli, zgadnąć niełatwo, na pewno tylko twierdzić mogę, że nie marzył o róż i lilij zapachu. Na tem mój pies nie znał się zupełnie i nieraz z ciekawością się przypatrywał jak pan jego, któremu na imię było Henryk, z panną Julją, sąsiadką swoją (pies tylko tyle wiedział), wtykał nos do rozwartego kielicha lilij. Ta manipulacya, której, niejednokrotnym był świadkiem, dziwiła go i rozwiązując męczącą zagadkę, doszedł do przekonania, że p. Henryk i panna Julja wyjadać musieli muchy, znajdujące się na dnie białego kielicha kwiatu. Że nie inaczej myślał, najlepszym było dowodem to, iż wiele razy męzki i niewieści nosy zbliżyły się do lilijki, pies łykał ślinkę, oblizywał się i ruszał dziwnie szybko ogonem. Tak bywało nieraz. Ale dzisiaj ni panny Julji ni pana Henryka nie było, kwiat lilji nieruszany srebrzył się w letniem słońcu, a pies widocz-

nie rozmyślał, rozmyślał boleśnie, bo czasem szczechnął i zawył żałośliwie. Rozpatrzmy się bacznie w około, a może dojrzymy przedmiot jego aspiracji.

Między padolem płaczu a kryształami szafirów...
Poeto! do porządku!...

Przepraszam — zapomniałem — dawny nałóg powracał. Więc —

Między ziemią a niebem, na suchej wierzbie, stojącej niedaleko drewnianego budynku, kuchnią zwanego — wisiał spory polec słoniny, którego mistrz sztuki kulinarnej, po prostu, kucharz pana Henryka, wędził na słońcu. W ten sposób przyprawione sadło ma być smaku wysmienitego. (Uwaga ta ku użytkowi smakoszów służąca, nie ma żadnego związku z powieścią). Otóż, marzenia naszego kundysa odbiegły nieco od ziemi, prawda, błękitów nie dosięgły ale zawisły w powietrzu koło nieruchomie wiszącej wędzonki. Parę razy próbował kilku konwulsyjnymi skokami przebyć nieznośną wysokość, ale nauczony doświadczeniem, że nie można mierzyć siły na zamiary i uważając marzenia swoje jako *pia desideria* (tu autor mówi, bo pies mój nie zna łaciny), schował ogon między nogi i usunąwszy się do budy, do niewinnego snu się ułożył.

Powoli sen splótł się w marzenia — marzenia widać były rozkoszne: wdychał. szczechnął czasami, i nawet gwałtowne głosy współkolegów, odzywające się z za bliskiej bramy, nie przerwały snów słodkich. Mruknął tylko niechętnie i obiema łapami zasłoniwszy kudłate uszy, snuł przedzę rojeń złotych. Mówiliśmy że o kwiatach nie mógł marzyć, zresztą sen jego był utylitarniejszej natury. Nieziszczone marze-

nia, we śnie stały się rzeczywistością — poleć słoniny trzymał w zębach i po krótkiej walce ze szpicem panny Julji, chcącym go pozbawić drogiego nabytku, pozostał zwycięzcą i z całym młodzieńczym zapalem tryumfu wziął się do niepodzielnej uczty.

Podczas snu Mordelia (zwracam tu uwagę żeby czytelnicy nie zmięszali go z *Murdeliem* Kaczkowskiego) podczas snu Mordelia, takie było chrzestne imię kundysa, którego czeladź niencywilizowana Morduchem nazywała — podczas snu więc jego, kucharz pana Henryka odczepił sadło, a pies obudziwszy się i nie znając przyczyny zniknięcia przedmiotu swej pożądliwości, wziął sen za rzeczywistość i rad z dopiętego zamiaru, pobiegł do przezroczystej szyby jeziora, znajdującego się w lesie pobliskim, żeby wodami jego ugasić sztucznie wzbudzone pragnienie.

Jezioro owe — wybaczcie nałogowi do przesady poetycznej — jezioro owe nie było właściwie jeziorem i do tego z szybą przezroczystą, lecz tylko małym błotkiem, kałużką, moczarką niby niewysychającą nigdy, małym źródółkiem zresztą wąskiej nitki mętnego strumyka, na dnie którego dostrzegałeś ropusze potomstwo i porosty barwy niepewnej, śluzem ikry żabiej powleczone.

Jezioro więc nie było jeziorem, ale las za to był rzeczywiście lasem dużym, cienistym, wonnym i tak dalej. Po skrzętnem gospodarowaniu panów naszych na miejscu lasów zwykle suche pieńki zostają. Jakiż to wypadek szczególny kazał tym dębom stuletnim stać równo i młodej latorośli w wysmukłe pędy wystrzelać? Dwa tylko jest przypuszczenia. Albo las ten jest odłamem wielkiego obszaru, czekającym jeszcze swojego ziszczą-

cego się prędko przeznaczenia, albo cudem niebywałym przed godziną dopiero wydobył się z ziemi na powierzchnię gruntów obywatelskich. Nie! Rzecz się ma całkiem inaczej. Brawo! niech żyje pan Henryk! Powoli!

Pan Henryk rzeczywistym właścicielem tego lasu jest niespełna od lat pięciu. Ojciec go odumarał dzieckiem, więc majątek poszedł pod opiekę prawa—od lat dopiero kilku znajduje się pod bezpośrednim, młodego pana, władaniem. Rozpływamy się z radości — lat pięć już gospodarzy i las stoi! Nie podzielam zapału. Widziałem przed chwilą na leśniczowstwie rudobrodzogo syna Izraela z łokciem w rękę i garścią banknotów w kieszeni. Leśniczowstwo znajduje się na krańcu lasu, z kądem się rozchodzi tentent mierzonych kopyt konskich.

Na pięknym skarogniadym wierzchowcu siedział mężczyzna lat dwudziestu sześciu, rosły, ładny, z młodym wąsem, który ku końcowi zwijszał się w ogonek mysy. Usta uśmiechały się łagodnie, prawą ręką gładził szyję niecierpliwego rumaka, który żar stalowe wędzidło i od czasu do czasu małą główką podzucewał.

Był to pan Henryk.

Skierował konia ku brzegowi błotnego strumyka i — czy chciał pomarzyć w uroczej ciszy lasu, czy dać ulubieńcowi chwilkę spoczynku, czy dla żadnej z tych przyczyn a tylko ot, bez myśli — zsiadł z pół krwi araba i swobodnie rzucając lejce na szyję faworyta, zbliżył się do mętnego potoku.

Właśnie w tej chwili Morduch chleptał błotniste wody źródelka, gasząc pragnienie, wzbudzone idealną słoniną. Przednie łapy zanurzył niemal całe

w grzędkiem błocie, i piękny, duży, czerwony język w misterną zwinąwszy trąbkę, z łapczywością godną piesiego rodu, pił płyn mętny. Lecz ważne to zajęcie przerwał tentent konia i szelest na pół powiędłych liści pod stopami idącego pana. W jednej chwili pies wyskoczył z moczarki i zgrabnym susem paryzkiej baletnicy z Mobillu, był u kolan zamyszonego, wspierając się obłożonemi łapami o białe — tu chrząkam — swojego pryncypała.

Pan Henryk zirytował się.

— Ruszaj psie! krzyknął.

I szpicrutą z trzciny nie krajowej kropnął mizdrzące się zwierzę. Morduch zawył boleśnie, skreślił się i skacząc na trzech łapach, wrócił nad brzeg strumyka, gdzie polizawszy bolącą nogę, usiadł cicho pod krzaczkiem tarniowym, od czasu do czasu zwracając błagalne spojrzenie na ukochanego sprawcę.

Pan Henryk w złym był humorze — widocznie mu się nie udało sprzedaż lasu. Bo wątpię, ażeby para niewielkich gwiazdek, odcisniętych przez stopki Morducha na białych — chrząkam znowu — mogło umysł poważny do rzeczywistego gniewu pobudzić. Głębsza tu jest niezadowolenia przyczyna. Młodzieniec chodzi niespokojnie, przystaje, nasłuchuje i co chwila uderza się po czole i nosie. Co to za ruchy? Bardzo naturalne. Dzień gorący, a nad stojącą kałużką komarów dużo. Natrętny owad irytuje go coraz więcej, więc dla odpędzenia napastników wydobyl papierosa, zapalił i parę kłębow sinawego dymu puścił do koła. Ale komary komarami, a niepokój niepokojem. Pan Henryk doprawdy jest niespokojny. Przysiada na pieńku spruchniałej olszyny, wstaje,

ogłada się — napastujący owad dodaje tylko więcej dramatyczności i tajemniczości jego ruchom.

— Co to jest, że do tej chwili nie ma? mruknął do siebie.

Targnął eleganckiego wasa, złapał komara koło samego ucha. kopnął nogą muchomorę i spojrział na zegarek.

— Dwunasta za minut dziesięć! nie bywałe jeszcze *rendez-vous* o samym południu!... mruknął niechętnie i wyrwawszy garść listków z niewinnie rosnącej leszczyny, zmiął w kulaku i rzucił na ziemię.

Za drzewami przemykała postać wiejskiej kobiety. W zwiniętym fartuszkuniosła grzyby czy poziomki. Pan Henryk zatrzymał się, wpatrzył i zawołał głośno:

— A chodź no tu, Warko!

Kobieta jakby nie słyszała wołania, szybko szła naprzód.

Pan Henryk pokręcił głową i podbiegł.

— Nie uciekniesz! jak Boga Kocham, nie uciekniesz! krzyknął, chwytając w pól kibici przestraszona niewiastę. Usta się jego uśmiechnęły, oczy zapaliły ogniem rubinowym.

— Paniczu! puszczajcie — czego chcecie ode mnie? pytała kobieta.

Pan Henryk śmiał się.

— Nawinęłaś mi się, ptaszko, wypadkiem — nie winienem temu. Daj buziaka!..

Kobieta pochyliła głowę i szarpnęła się silnie.

— O! o! zawołał napastnik, chcesz się borykać ze mną? zobaczymy kto silniejszy!

Pan Henryk dał dowód większej mocy.

— Panyczu! hołubel! nie róbcie mi wstydu i przykrości,..

— A pamiętasz, Warko, jak prosiłem ciebie nieraz, żebyś mnie pocałowała? Nie i nie! — no — to teraz będzie tak i tak!

Cmoknął głośno w zarumienione policzki młodycy, aż Morduch powstał i nadstawił uszy kudłate.

— Na co mnie wasze pocałunki, mówiła Warka, mam ja kogo całować w domu i Semenka i dzieci i brata rodzonego. Szczęściu mojemu nic w drogę nie zachodziło i Pan Bóg wszystko dobre dawał — a teraz...

— Bóg swoje a ja swoje — odpowiedział natręt — nie zapominaj żeś i mnie coś winna. Kto tobie największe kopy w polu odykał i w młynie darmo mleć pozwalał?

— Bóg zapłać, panyczu dobry, nie zapomnimy o tem z Semenkiem do dnia sądnego.

— Nie dla twojego Semenka to robiłem, odparł panicz, odrzucając szpicrutę i kapelusz na bok, a tylko dla ciebie, krasawico! daj buziaka, bo...

— Nie róbcie mi krzywdy paniczu, sokole! zawołała dziwnie miękko i oczy czarne na młodzieńca podniosła.

Pan Henryk uśmiechnął się, pochylił nad jej twarzą i źrenice w jej źrenicach utopił.

Na ustach kobiety łatwo dojrzany uśmiech zawitał, błękitne żyłki na delikatnych skroniach krwią były.

— W lubystku cię *neńka* kąpała, czar-ziele pić dawała — ty... czarownico!

Na licach kobiety rumieńce zatańczyły.

— Twój Semen tak nie całuje!

— Czy usta panicza słodsze?

— Spróbuj!

Pochylił się...

— Nie chcę! nie chcę! mój Semeńko kocha i wierzy mnie. Paniczu, sokole, hołube srebrnopióry...

Ale *hołub* srebrnopióry słuchać nie chciał—skarża na zamkniętych pocałunkami ustach przycichła.

Morduch siedział nad mętym źródłem kałuży i patrzył na żab zaloty. W psim mózgu różne plątały się obrazy: sadło, szpie panny Julji i pan Henryk były tylko ich dopełnieniem. Patrząc na pasowanie się panicza z niepoddającą mu się Warką i nierozumiejąc mowy ludzkiej, która mu się wydała jakimś tylko narzeczem własnego jego języka — nie przypuszczał, że człowiek ma siebie za coś lepszego od pierwszego jakiegoś Morducha. Przeciwnie — z nadstawionych uszów, oczów ciekawych i przyspieszonego ruchu ogona, można było sądzić, że pies pomyślał o panu Henryku: ach! jak on do mnie podobny!

W głębi lasu zaszeleściały liście, zatrzeszczały suche gałęzie pod mocnem uderzeniem kopyt końskich. Morduch zerwał się na wszystkie nogi, zaszczekał, pan Henryk rzucił się do spokojnie żującego zielone gałązki leszczyny arabczyka, dosiadł go piorunem i poprawiając włosów i wyrzucając zeschłe liście niepotrzebnie wplątane w kwafiurę, dał ostrogę i miernym klusem podążył na spotkanie wypływającej z gąszczy lasu, pięknej postaci amazonki.

Była to panna Julja.

Błękitna, jedwabna suknia sięgała niemal ziemi, duże rondo słomianego kapelusza ubrane w maki polne, kłosa i bławatki, rzucały cień interesujący na zarumienioną szybką jazdą twarzyczkę. Rzęsy długie przykrywały oczy habrowe, malinowe usta się śmiały, pokazując dwa rzędy ząbków małych, równych jak perły. Lewa rączka ubrana w rękawiczkę białą ściągnęła wodze spienionemu koniowi, prawą od ust posłała panu Henrykowi powitanie czy pocałunek.

— Nakoniecl... odezwał się mężczyzna, patrząc z uśmiechem w twarz pięknej pani, całując i tuląc do serca drobną rączkę dziewczyny.

— Czekales pan długo? zapytała głosem jak metal dźwięcznym.

— Trzy kwadranse — ale mnie się zdawało, że trzy wieki.

— Tęskniłeś pan za mną?

Pan Henryk westchnął głęboko i dłoń położył na sercu.

Nigdy Morduch z taką szczerą czułością na zadne sadło nie patrzył, z takim wyrazem miłosnego uczucia, jak panna Julja w twarz pięknego młodzieńca, siedzącego przed nią na skarogniadym rumaku.

— Co pan robiłeś w czasie mojej nieobecności? Pan Henryk zakłopotał się.

— Myślałem o tobie — Julko!

Wziął rączkę niebronioną i do ust przycisnął.

Julka się uśmiechnęła, pogroziła mu palcem po nosie, ale nie gniewała się za to zdrobnienie jej imienia bez *pani* przed tem. Ten wyraz spieszczony z ta-

kim niezrównanym wdziękiem wychodził z ust kochanka.

Zaczęli rozmowę po francuzku. Nie wiem dla czego po francuzku mówili—byli sami, bez świadka, bo choć Morduch im nieodstępnie towarzyszył, ale nie mógł pochwalić się znajomością jakiegokolwiek bądź języka.

Ujechali kroków kilka. Bystre oko amazonki spostrzegło na trawie pod dębem rozsypane jagody poziomek.

— A to co? zapytała wstrzymując konia i pokazując palcem poziomeki.

Pan Henryk poskrobał się palcem pod szyję.

— To — moja robota — wyjąkał.

— Uprzejmniając chwilę oczekiwania, zabawiłeś się pan rwaniem jagód — mówiła Julja. Dla kogo je rwales?

Pan Henryk się przymilił.

— Niedomyślna! wyszeptał.

— Ale cóż za wypadek tak je rozrzucił? dla czego nie doszły do przeznaczonych rąk? badała niemiłosierna inkwizytorka.

— Nie miałem w co zbierać — zbierałem więc do chustki.

— Od nosa?! zawołała, rozszerzając ciemnych swoich oczu źrenice.

— Nie!... to jest tak! plątał się pan Henryk, ale chustka była zupełnie czysta...

Panna Julja śmiała się...

Dziwna rozmowa kochanków!

Nie gniewajcie się, łaskawe czytelniczki, za przedstawienie wam tego nieromantycznego obrazka. Możebyście wolały słuchać dźwięków cytry i patrzeć

na tajemniczą łódkę — nie próżną oczywiście—przesuwającą się cicho po falach sennego jeziora. (Zapomniałem dodać, że księżyc musi świecić koniecznie). Ale nie moja w tem wina, że kochająca się para o samym południu zjechała się w lesie, w którym sennych jezior nie było — a i o cytrze jakoś zapomnieli. Zresztą panna Julja wolała fortepian i często z panem Henrykiem przesłizne grała galopki — no! i Trubadura czasem próbowano. Po tem krótkim wytłumaczeniu się, wracam do rzeczy.

Więc —

Panna Julja śmiała się — pan Henryk mięszął się coraz więcej.

— Doprawdy! że pan jesteś za dobry dla mnie, ściskając dłoń młodzieńca szepnęła dziewczyna. Ale czy tak będzie zawsze?

— Zawsze, zawsze tak będzie! z niekłamaną szczerością odpowiedział zapytany.

Morduch machnął ogonem jakby na potwierdzenie słów swego pana.

Henryk się przybliżył i pochylił do Julji ramienia.

— Wierzę! szeptała dziewczyna. Twoje oczy rozpłomienione to mówią; ciepło krwi ust twoich potwierdza, że serce nie prędko ostygnie i kochać przestanie.

Pocałowali się —

Ot! Krótko a dobrze się wyraziłem. Nie tak robili romantyczni wieszczowie, którzy nim doprowadzili do pocałunku kochającą się parę, przystępowali do tej prostej manipulacji z całym aparatem słówek, półsłówek, westchnień, niedomówień — malowali na przód różowymi barwami rumieńce, sercu powtarzać tik-tak kazali, do oczów pakowali lzy gwałtem i do-

piero powoli, nieznacznie, z pewnymi wzdrygnięciami się i niby od niechcienia zbliżali naskórki (rozumiej usta) do siebie. Tutaj inaczej rzecz się odbyła, i nie powiem, żeby w jej wykonaniu było mniej *precyzyji* i przyjemności.

Pocałowali się — i dopiero po fakcie spełnionym panna Julja zawstydziała się. Rumieńczyki zafalowały na twarzy, oczy zaczęły szukać jagód na murawie.

— Zbierz pan trochę poziomek — odezwała się, zawsze mając oczy spuszczone — i podaj mi! Niech marnie nie przepada trud pański.

Usłużny kawaler zeskoczył lekko z siodła, zerwał kilka listków dębowych i zwinąwszy je w kunsztowną miseczkę, położył na lewej ręce, prawą zgarniając czerwienie jagody. Miseczka była pełna, jagody wybrane, nic mu więc nie pozostawało jak oddać je do drobnych rączek Julii, co też p. Henryk nie omieszkał uczynić.

— Dia! od ust prowadząc dwa paluszki, odpowiedziała dziewczyna.

Panicz skłonił się i skoczył na siodło.

CMoknęli na konie i stępa ruszyli naprzód.

Czerwcowe słońce samego dosięgło zenitu, upał był nie do zniesienia, to też powstrzymywane rumaki szły niesfornie, dzwoniąc stalowymi wędzidły i Morduch pokazał język. Między młodymi panowało milczenie — pan Henryk był zamyślony, panna Julja zjadała poziomki.

— Dobrze? od niechcienia rzucił kochanek.

— Bardzo — odpowiedziała kochanka.

I na chwilę przerwana rozmowa znowu się rozpoczęła.

Jagody były zjedzone i panu Henrykowi dostało się kilka dużych, czerwonych, które choć bezpośrednio

z rącek panny Julji do jego ust się przeniosły, z trudnością jakąś przełknął. Tak bawiąc się i karmiąc, wyjechali z gęstwiny lasu na czyste pole, gdzie krzyżowały się dwie drogi. Tu się wstrzymali i wyciągnęli ręce do siebie.

— Więc dziś wieczorem zobaczymy się? szepnęła panna.

— Mogłoby być inaczej? odpowiedział młodzieniec.

— Nie spóźniaj się pan tylko.

— Będę najpierwszy.

— *Au revoir!*

— *Au revoir!*

Morduch mruknął tak dziwnym głosem, jakby i on *au revoir* chciał powiedzieć i wykręciwszy szyję, zbliżył pysk swój do grzbietu koło ogona, skubiąc zębami kryjące się w gęstych kudłach insekty.

Konie biegły dwoma przeciwnemi drogami. Jeźdźcy czasem oglądali się i patrzyli na siebie, póki błękitna szata amazonki i ciemno-popiołaty pana Henryka rajtrok nie zasłoniły się kłębamii pyłu i półkolistem wzgórzem, którego żaden wzrok najgorętszej miłości prześwidrować już nie mógł.

Pan Henryk wpadł na dziedziniec i zsiadłszy przed gankiem z oblanego potem wierzchowca, który krokiem powolnym poszedł do stajni, odpowiadając rzeniem na odzywające się z wnętrza współtowarzyszów głosy — wszedł szybko do swojego pokoju i zmęczony rzucił się na łoże. Morduch z wywalonym językiem, oddychając ciężko, do swojej budy się zawlókł. Obaj doznali silnych wzruszeń, słusznie im się należał odpoczynek i sen parogodzinny.

II.

Na leśniczowstwie, przy gościnnym stole pana gajowego siedział żyd brodaty. Naprzeciw sam gajowy. Pomiedzy nimi stała butelka ze szkła ciemno-zielonego z szyjką przekrzywioną na bakier, przechylając się co chwila to w jedną to w drugą stronę, do kieliszka Szłomy Lizuna, to do kwaterki pana Serafina Iwrońskiego. Żyd był chudy, wysoki, brodę miał długą, rzadką niezmiernie, barwy czerwonej jak miedź na odwrotnej stronie dna rądla. Nos garbaty, kościsty, nie dodawał wdzięku rudawym włosom zarosniętym policzkom, a bezrzesne powieki zaczerwienionych oczów i gula wielkości włoskiego orzecha na lewej stronie czoła, były dopełnieniem powabu praprawnu-ków Abrahamów, Izaaków i Jakóbów. Włosy miał ostrzyżone przy samej głowie, na której gdzieś, jakby znaki od stawianych baniek, świeciły miejsca jaśniejsze. Otłuszczona jarmułka przykrywała misterny owal czaszki.

Stróż lasów pana Henryka nieco wdzięczniej wyglądał. Wzrostu miernego, dobrej tuszy, z szyją krótką, na której siedziała głowa, krągła niby kula armatnia, pokryta lekkim zarostem siwiejących włosów; z nosem potężnym, którego dziurkowata powierzchnia miała kolor gradowej chmury, co mówiło, że czcigodny pan gajowy, niekoniecznie był amatorem źródlanej wody tylko. Całość osoby pana Serafina robiła wrażenie przedziurawionego miecha, z którego powietrze wydobywało się nieproszonym otworem z jakimś sapaniem ochryplem.

Szloma popijał i głową kiwał — pan Serafin popijał i potniał.

— Nu! jakże teraz będzie? odezwał się mąż izraelski.

— A co mnie do tego jak będzie! odpowiedział leśniczy — nie mnie wchodzić w interesa pańskie i te jakimś żydowi rozpowiadać. Pan wie swoje a ja swoje.

— Nu! a ja wiem swoje — dokończył Szloma, stukając kieliszkiem o kwaterkę pana Serafina. Na co się gniewać? czemu nie mamy być jak przyjaciele. Czy to my się dzisiaj znamy? czy ja pana, panie Iwroński, nie wiem, że pan poczciwy człowiek i mnie w interesach objaśni.

— Nie powiem nie -- choćbyś mnie dawał królestwo niebieskie i na lucyperskim roźnie smarzył. Służyłem wiernie nieboszczykowi panu deputatowi i jego synowi tak samo posłużę. Chleb jego jem i jego nie zdradzę!

— A kto tu gada o zdradzać? tu mówić potrzeba.

Ujął pana Serafina za rękaw wyszarzanego surduta.

— Panie Iwroński! niech pan posłucha Szlomy i zrozumie czego ón chce. To nie żadne rozbójstwo tylko interes, i dla pana deputatowicza dobry interes, bo ón chce las sprzedać a ja chcę kupować, tylko ja nie chcę dać tyle, wiele ón chce. A jeżeli ja nie dam tyle wiele ón chce, to ón drugiego kupca nie znajdzie i lasu nie sprzeda i jemu może markotno będzie. Ja potrzebuję tylko wiedzieć jak ón w interesach chodzi, czy ón trzymać się może ze swoją ceną, czy nie. Jakie tu nieszczęście i szacher?...

— Co tobie do interesów pańskich? Dawaj pieniądze na stół a jak nie to ruszaj do trzystu wiatrów! Szloma cmoknął i jarmułkę poprawił.

— Ja widzę, panie Iwroński, że pan udaje, że wie, a nic nie wie.

Pan Serafin się oburzył.

— Nikt lepiej nademnie wiedzieć nie może jak on w interesach stoi.

— Ja wiem więcej niż pan — ja wiem, że u niego dobrze stoi.

— Gdyby nie kontrakty kijowskie, gdzie to pojechał słuchać jakiejś Sury, co to na teatrze komedye wyprawiała.

— Aj waj! wielki wydatek zapłacić pięćdziesiąt rublów za łożę i posłuchać komedyi! A kto takiego komedyi słuchać będzie, jeżeli nie taki bogaty pan jak pan Henryk.

— Ja wiem że pięćdziesiąt rublów to nic, odpowiedział leśniczy, ale po skończonej wuperze poprosił ją do francuzkiego hotelu i tam jak postawił kolacyę, to aż w niebie zapach marcypanów się rozchodził.

Żyd ruszył obojętnie głową.

— Aj waj! dwa tysiące na kolacyą! A któż takie kolacye jeść będzie, jeżeliby panowie nie jedli?

— Dwa tysiące! mruknął ironicznie Iwroński.

— Niechaj trzy! to jemu wielka szkoda zrobiła się?

Pan Serafin powstał i przechylając się przez stół, zawołał:

— Szkodyby nie było, żeby nie poszedł do klubu i z półkownikiem Złodziejkowskim do fanfaronu nie zasiadł.

Szloma lekko oczy przymrzył.

— Może wygrał?

— Wiele przegrał — zapytaj!

— Nu — wiele?

— Szesnaście tysięcy rubli na jedną kartę świsnął!

Żyd wyprostował się na ławce.

— Nu! to dobrze świsnął! Ale przecie jemu pan deputat zostawił kapitały?

— Trzydzieści tysięcy białych i złotych — ciągnął rozgadany wierny sługa pana Henryka — ale z nich dawno tylko rachunkowa książka na pamiątkę została.

— A z czego za fanfaroną zapłacił?

— Pożyczył u Fabrykowicza z Białej-Cerkwi na trzydzieści siedem od sta, bo dług honorowy długo czekać nie może, a Fabrykowicz na mniejszy procent pożyczyć nie chciał. Byłoby i to nie strach, gdyby majątku, prawda, że bez lasu, w banku kijowskim przed rokiem nie zastawił. A teraz Fabrykowicz czekać nie chce i grozi procesem.

— To jemu kiepski! mruknął Szloma, ale jeszcze nie strach. Procent bankowi z urodzajów zapłaci, lasem zepchnie Fabrykowicza i znowu czysto.

— Djabła tam na czysto, panie Szloma! odpowiedział litościwy leśniczy. Jak dwa procesy razem się zwali to i fortuna klapnie.

— Wuse dues? jaki to jemu drugi proces ma wyskoczyć.

— A z bratem rodzonym.

— Z panem Rupipertem?!... a co to takiego?

— Świętej pamięci pan deputat nieboszczyk dwóch synów zostawił i każdemu z nich po wiosce

zapisał. Ale że majątek pana Henryka jest większy lasem całym od majątku pana Ruperta, kazał panu Henrykowi połowę wartości lasu spłacić bratu. Pan nie chce za psie pieniądze lasu oddać a pan Rupert pieniędzy nie ma. Brat grozi, Fabrykowicz straszy, a i procent bankowy nie zapłacony jeszcze.

— To jemu bardzo kiepski! — zakonkludował Szloma.

Splunął, utarł nosa palcami i jednym haustem przełknawszy kwaterkę wonnego napoju, wyszedł z izby.

Poważne kroki czcigodnego Szlomy Lizuna skierowały się w głąb' lasu. Z głową podniesioną, z założonemi w tył rękami, szedł powoli, mierząc oczyma olbrzymie słupy dębów, których ciemnolistne korony złościły się w jasnych blaskach czerwcowego słońca. Czasem zatrzymywał się, mierzył łokciem objętość pni grubych, cmokał i „pikes Małachoskis“ powtarzał. Biedne drzewa nie znały zbójcekich zamiarów idącego, szumiały uroczyście, ciesząc się słońcem i życiem.

— A co tak przypatrujesz się tym drzewom?— odezwał się za plecyma Szlomy głos Iwrońskiego.— Nie zatargowójcie skóry niedźwiedzia, kiedyście go jeszcze nie ubili.

Żyd zwrócił się nagle i podchodząc szybko do przysiadającego co chwila (co było skutkiem alkoholu) Serafina, położył mu dłoń na ramieniu.

— Panie Iwroński! — zaczął — ja wiem, że pan człowiek poczeziwy i dla tego gadam z panem.

Pocałowali się.

Dziwnym wypadkiem los zrządził, że pocałowali się w tem samem miejscu, gdzie przed chwilą uczyli to samo pan Henryk i panna Julja. Dwa pocałunki różne i podobne, podobne z jednej strony przynajmniej.

— Czem tobie mogę służyć Szlomku,— odezwał się Serafin.

— Niech pan, panie Iwroński mnie powie, czy pan, panie Iwroński, czy pan Henryk będzie liczyć moje stosy.

— Ale jeszcze nie twoje, do stu tysięcy złotych? krzyknął leśny i dwa kroki w tył zrobił.

— Czego pan tak krzyczy, panie Iwroński, ja wiem że nie moje, ale przypuścemy że już moje. To kto ich będzie liczyć, pan, panie Iwroński, czy pan Henryk?

— Jużci, że ja. Pan mnie wierzy jak swojemu rodzonemu bratu i wie, że ja go nie zdradzę. Świętej pamięci deputat nieboszczyk na mnie jak na rodzonej matce polegał. Ja prowadziłem rachunki z młynarzem, doglądałem przy młóćbie a i propinacya do mnie należała. Tam trochę pokazywał się deficyt, ale temu była winna wódka, co djabeł wie gdzie znikala, musieli do niej kamfory dosypywać. Ale, że sumiennie spełniał swój obowiązek, to sumiennie! Świętej pamięci nieboszczyk deputat z przed tronu niebieskiego pewnie mnie błogosławi. Prawda! że sam wszystkiego własnem doglądałem okiem, ale mnie wierzył jak panu Jezusowi w ołtarzu. To też i pan młody mi dufa i sam już na nic nie patrzy, bo wie, że ja go nie zdradzę. Jak Pana Boga mojego Kocham, kiedy powiadam to mówię — nie zdradzę!...

Splunął misternie przez zęby i półtora kroku na lewo uczynił. Szłoma się przybliżył.

— Czy pan wie, panie Iwroński, zaczął głosem powolnym, robiąc charakterystyczny ruch ręką, właściwy synom ziemi obiecanej. Czy pan wie, panie Iwroński, że pan tu może... trzy tysiące rublów zarobić?

Pan Serafin brwi podniósł i zdziwionemi oczyma wpatrywał się w uśmiechniętą twarz żyda.

— Fiu! fiu!..

Pokręcił wskazującym palcem koło swojego czoła.

— Kłykała baba najmyszku, a soroka wybihła! Czy ty Szlomo, Święty Mikołaj cudotwórca?

Szłoma ujął klapy surduta gajowego i mówił.

— Panie Iwroński! niech pan słucha, uważa i na rozum bierze. Pan liczy stosy, a znając las, pan może tak manewrować, że dużo stosów nie zobaczy. Za każdy tysiąc, który na bok pójdzie, pan będzie miał tysiąc rublów — „auf meine munes“ — tysiąc rublów!

Pan Serafin zapienił się.

— A! duszo belzebubska! Czy ty myślisz, że ja pan Jezus, że mnie kusić można? Żebyś mnie obiecywał królestwo niebieskie i na różnie lucyperskim smażył, nie oszukam pana swego jak moją nieśmiertelną duszę poważam!..

— Jakie to oszukaństwo? — tłumaczył Szłoma, to geszeft!

— Żebyś mnie w Ameryce góry z kalafoni dawał i gorzelnię Strokowską, szelmstwa takiego nie zrobię—kiedy mówię, to powiadam—nie zrr...obie! Ni-

gdy jeszcze Serafin Iwroński nie dopuścił się *grzechu* żadnego i sumienia swojego nie zamazał. Pan Bóg ukarze, siarczyście ukarze i Matka Boska Jezusa Nazareńskiego nie podaruje.

— A od czego u was ksiądz, co grzechy odpuszcza? zagadnął Szłoma.

Pan Serafin spojrział w twarz pytającego i zastanowił się.

— Mądryś jak Salomon, żydzie! zawołał po chwili. Pan Bóg łaskaw na nas biednych robaków! Zapaskudzi się sumienie, to ksiądz jak podłogę wyszoruje i czyste znowu. Miłosierdzie Jezusa Pana bez granic, chce on koniecznie zbawić człowieka choćby ten i *tak i siak* kręcił..

Filozofia Szłomy Lizuna wypowiedziana jasno, zdawała się mu trafiać do przekonania.

— Nu jakże będzie? zaczął pierwszy.

Serafin westchnął ale głową pokręcił.

— Nie, powiadam, że nie! Ja pana mego nie zdradzę. Na ziemi jego siedzę, chleb jego jem — nie oszukam!

— Nu, niech tak będzie! ciągnął kusiciel. Ale jak pan Henryk las sprzeda, to pan mu już nie będzie potrzebny, na co gołe pieńki pilnować! A jak panu, panie Iwroński, na starość zęby z gęby powypadają, to pan pójdzie sobie do Skwiry i będzie zamiatał śmiecie na Carogrodzkiej ulicy. Ja pana nie namawiam na żadne rozbójstwo, ja tylko mówię jaki to jest interes...

Iwroński zadumał się.

— Interes! powtórzył, prawda! i dobry interes!

Wzmianka o miotle i śmieciu Skwirskim nie podobała się szlachcicowi.

Szloma nacierał.

— Co tu gadać, panie Iwroński, czy pan, człowiek cybulizowany, ma zawsze na leśniczowstwie mieszkać i być leśnikiem w Koszlanówce? Jak interes się uda i pan weźmie *bumażki* do kieszeni, to pan pojedzie do pana Rupiperta i weźmie Zdechlaczkę w possessyę, a fajne futuro! A na co pani leśniczowa taka delikatna pani, ma kąty wycierać i sama w rądle robić i krochmalone nosić spódnice, kiedy pan, panie Iwroński, kupi jej suknię z czerwonej flaneli i kapelusz z kaktusem? Pan będzie poszesor a ona poszesorowa, niechno się tylko interes uda.

W pewność udania się interesu pan Serafin nie wątpił na chwilę, mając za sobą długi szereg dowodów roztropności i doświadczenia, ale mu głupie sumienie niejakię jeszcze wstręty czyniło. Milezał, głową ruszał, palec do nosa przytykał, wreszcie zawołał:

— Żydzie!... daj rękę!...

Klasnęła dłoń o dłoń aż echo cichego lasu odbiło i snując przedzę marzeń nieczystych, zwrócili się na leśniczowstwo, do wydętej z ciemnozielonego szkła butelki.

Rozwartą powieką świeciło złote oko słońca i jasnym światłem oblewało las mileżący. Nieruchomie stały słupy odwiecznych dębów, wiatr letni przebiegał górą i cichym szeptem rzucał tajemnicze drzewom pytania. Z błotnej kałużki płynął strumyk mętny, jedna żaba wylazłszy na wystający z wody kawał spróchniałego korzenia, skrzeczała przeraźliwie,



w promieniach słońca igrały komary. Niebo błękitem, ziemia zielonością świeciła—i pięknie byłoby na niej, gdyby tych błotnych kałuż nie miała.

III

Z bijącym sercem od wstydu czy przestרחu, z oczyma czerwonymi od łez czy kurzawy, szła Warka krokiem chwiejnym do swej sadyby.

Dzień się chylił ku wieczorowi, słońce zachodziło czerwono. W polu odzywały się głosy różne, muzyka latającego, pełzającego i skaczącego świata. Tam na rudce zielonej, zanurzony do połowy swych nóg pąsowych, zaklekotał bocian, ciesząc się z dobrego połowu, głosem jego przestraszony bekas się zerwał i w zygzak piorunowy śmignął nad łąkę, szukając dalej bezpieczniejszego schronienia; w powietrzu zaszumiały skrzydła kaczek, bo to ich przelotów godzina. W zbożach nieśmiało odezwały się świerszcze, wtórując lekliwie urywanej żab piosence, a bliżej sioła gromadnie podlatywały wróble, swiergotały wesoło, siadając na płotach, krzakach, to nurzając się w pyłe na drodze, wiodły bój o ziarno pszeniczne.

Nad wsią unosiły się dymy i popielaty płaszcz kurzawy; z pastwisk wracały trzody do zagród swoich, Ryk krów, beczenie owiec i psów szczekanie, przy zapadającej szacie wieczoru, mieszały się w gwar dźwięczny, z którego wypływała muzyka dziwnej harmonii, jaką tylko wieś grać umie.

Warka szła krokiem przyśpieszonym nie oglądając się, nie patrząc przed siebie. Nie zważała na

gwar ją otaczający, nie odpowiadała na zapytania, rzucając przez przechodniów, przyciskała ręką serce niespokojne i biegła prawie. Dopiero zobaczywszy białą chatę swojego męża, zatrzymała się przed wrotami, wejść nie śmiejąc.

Drzwi do chaty stały otworem, z wnętrza wychodził przytłumiony śpiew mężczyzny. Widocznie Semen kołysał dziecko nie senliwe i śpiewał.

Twarz Warki pobladła okropnie, piersiom oddechu nie stało. Przyglądała włosy, fartuchem czoło potarła, jakby z tego czoła coś chciała zetrzeć, zmyć coś chciała, co ją wyda, oskarży przed mężem...

Semen kołysał dziecię i śpiewał.

Warka do wrót podeszła i chciała je otworzyć, ale stare wrota zazgrzytały i przestraszyły ją. Cofnęła kroku i opierając czoło o chropowate *woryny* płotu, stała milcząca.

Semen wciąż kołysał niemowlę i śpiewał.

Wtem dziecię zakwiliło...

Kobieta twarz podniosła, otworzyła wrota skrzyjące, zbliżyła się cicho do chaty, zawahała się chwilę i weszła.

Na ławie siedział Semen i trącał kołyskę przyczepioną dwoma sznurkami do pułapu. Dziecię zaciśnięte kułaczki trzymało na oczkach zamrużonych i spało.

Zobaczywszy wchodzącą, Semen powstał z siedzenia i zbliżając się do żony, odezwał.

— Szos zabaryłaśsia, Warko, a detyna kryczyt' jak skażena i spokoju mnie nie daje.

Niewiasta nic nie odpowiedziała, podeszła do kolobki i siadając na miejscu męża, huśtać dziecię

zaczęła. Semen się zbliżył do ukochanej kobiety, objął ją i dwa mocne pocałunki na usta położył.

Jakiś cień przesunął się przez twarz nieszczęśliwej. Nie śmiała spuszczonej oczów podnieść i spojrzeć na męża. Semen usiadł przy stole, obrócony plecyma do żony i zaczął coś strugać kozikiem. Była chwila milczenia, przerywana tylko cichym łoskotem oddzielających się od ostrza noża resztek drzewnych i wahadłowym ruchem kołyski.

— Czemu nie śpiewasz, Warko? odezwał się Semen.

Kobieta milczała.

Semen lubił śpiew żony. Często w długie wieczory zimowe po całych godzinach słuchał jej głosu, nie spuszczając oczów z jej twarzy ładnej. Przy robotcie w polu, gdy żonco się z sierpami uwijali, a Warka pieśnią dodawała ochoty, on jeden zakładał sierp na ramię, a lewą rękę za pas czerwony i słuchał.

— A czemu nie zniesz, Semen? pytali ludzie.

— A jak tu żać, kiedy moja Warka śpiewa!

Warka wiedziała o tej miłości męża, który się nie raz bronił przed krzywdą ludzi i językiem złych sąsiadek. Raz nawet o nią panu rządcy jeżem stanął i staroście wiejskiemu zęby pokazał, ba! nawet popowi nie podarował. Wiedziała, że na wszelkie smutki serdeczne, w głosie swoim ruszałczane uroki miała, któremi zwiewała tęsknotę z czoła, z myśli niepokój. Gdy zboże w polu nieurodziło, grad pobił kłosa dojrzałe, bydło zniszczyła zaraza, a Semen z tego dopustu bożego był markotny, bo na wygodzie i zwykłym dostatku w chacie brakło; ona zaczęła mu opowiadać baśnie o ruszałczanym gaju lub o Atamanie

Soroce ¹⁾ powieść kozaczą. I zapomniał Semenکو o zgryzocie, słuchając skazek cudownych i głosu żony. Dziś wiedziała, że zabawiwszy się długo w lesie nad poziomkami, mąż niespokojny był o nią, a jednak nie mogła uściskiem za uścisk zapłacić; być posłuszną jego wezwaniu do pieśni. Siedziała blada, milcząca, ze spuszczoneymi powiekami ku ziemi, kołysząc Sołowejka.

— Czemu nie śpiewasz, Warko? zapytał mąż znowu.

Ona milczała, poruszyła tylko szybciej kołyską dziecka, żeby kruk u pułapu ostrzej zaskrzypiał i słyszeć przeszkodził.

Semen odwrócił głowę i spojrzał na żonę, ale nie zapytał już o nic, bo może była zmęczona i odpowiadać nie chciała. Zaczął strugać dalej kozikiem i do lipowej łyżki przemawiać, której rączkę misternie rzeźbił właśnie.

— Nie miałas ty Warko, takiej łyżki, jaką teraz mieć będziesz, *starostycha* oskome dostanie, jak zobaczy. Widziałem ja na jarmarku w Pawłowoczy dwa wozy pełne, ale *kudy* do mojej! Kiedyś ty rwała poziomki w lesie, ja poszedłem do cerkiewnej pasieki i wyprosiłem u Pałamara suchej lipiny kawalek na łyżkę dla ciebie. Dał mi kloc duży, ale z warunkiem, żebym i Pałamarysze jedną zrobił. Zrobić—zrobię, ale nie będzie taka jak twoja.

¹⁾ Poemat osnuty na pięknem podaniu ukraińskiego ludu, drukowałem w *Biesiadzie Literackiej*, w Nr. 129, 130 i 131 r. 1878. Utwór ten został zdefektowany przez liczne zmiany i niefortunne poprawki, których dopuściła się Redakcyja, bez wiedzy i upoważnienia mego.

Umilkł na chwilę, bo wypadło całą uwagę zwrócić na jakieś trudniejsze wycięcie w robocie.

— Pabaczysz, zinko luba! jaka to łyżka będzie!.. Dwa gołąbki posadzę na ręczce, a między niemi powoju kwiatek. Jeden hołub—to ja; drugi—ty, a powój to Sołowejko!..

— Hej, hej, Warko! Jabym cię nazwał tęsknicą mojego serca i mojej duszy śpiewaniem, bo kocham ciebie, jak nasze letnie słońce.

Urwał w pół słowa, bo coś zaszlochało za nim, pewnie to dziecku pies się czarny wyśnił i przez sen zakwililo.

— Kiedyś ty była w lesie i rwała poziomki, ja wziąłem swego Sołowejka na ręce i w pole poszedłem. Nie mogła mi się pszenica uklonić do kolan, za wysoko jej było zniżyć się, i żytko zhardziało, zgiętymi od ciężkich ziaren kłosami, po skroniach mnie biło. Sołowejko śmiał się i łapał kłosy, które mu się z rąk małych wymykały. Bóg dał urodzaj, wystarczy na chatę większą i izbę cieplejszą dla ciebie i Kaniu-kowa korale sprzeda mi swoje. A ty wiesz dla kogo ja chcę kupić te korale, *perepelycio* ty moja!

Znowu umilkł, bo znowu dziecko zaszlochało w kołysee.

— Kiedyś ty była w lesie, Warko i rwała poziomki, przyszła do mnie Nastia Zaprzańska, którą mąż strasznie pobił, bo do pana rządcy zęby szczyrzyła. Chciała, żebym ja ją bronił, ale ja wiem, co ona z Nypajskim robiła. Pokazałem jej wrota i do chaty nie puściłem, żeby mi świętego progu nie powalała.

Za plecami Semenka odezwało się znowu szlochanie, zrazu ciche, tłumione, później głośnym płaczem zabelkotało.

Semen mówić przestał, Sołowejko nigdy tak mocno nie kwilił. Obejrzał się—powstał... To płakała Warka.

— Czego ty tak zawodzisz, Warko moja? zapytał podchodząc.

Warka trzymała fartuch koło oczów i chwiała się od duszącego łkania.

Semen podbiegł, odjął fartuch od oczów zaczerwienionych i spojrział w twarz żony.

— Co tobie? co tobie? pytał niespokojny, tuląc do serca drżącą od płaczu kobietę.

— Ty puść mnie! ty nie patrz na mnie! ty nie dotykaj mnie! wołała głosem bezdźwięcznym.

Semeńkowi serce stukało głośno, coś mu w pierśsiach zakłuło, coś mu w mózgu błysnęło, jakby myśl niewyraźna zbliżającego się nieszczęścia. Trzymał w objęciach żonę i trząsał się jakby go febra nawie-dzała.

— Co ci się przytrafiło w lesie, kiedy rwałaś poziomki? wyszeptał. Biały twój fartuch zwalany jagodami... poziomek nie ma—gdzie poziomki Warko?

— Zostały w lesie wraz z dolą twoją, odpowiedziała ledwo dosłyszczanym głosem.

— Co?... co?... urywanie, jakby chwycił piersią uciekające powietrze, zapytał.

— Pan mnie uwiódł!... jęknęła Warka.

Semen drgnął, oczy rozwarł, nozdrza rozdał jak zwierz, którego kula myśliwca w serce raniła. Wyprężył się, pochylił, patrząc w twarz omdlewającej

niewiasty. Czolo mu się strasznie marszczyło, chwiał się i w oczy jej patrzył. I zdało mu się, że na ustach żony, zobaczył ślad czarny pocałunku pańskiego.

— Ty!... ty!... w lackie objęcia poszła!... zaryczał.

Rozwarł ramiona i rozszerzonymi palcami swych dłoni za gardło ją chwycił.

— Dusisz!... krzyknęła kobieta, chcąc słabymi palcami rozerwać dławiący węzeł rąk mężczyzny.

W tym krzyku coś takiego było, co Semenowi odjęło siłę i moc wszelką; w tym krzyku zabrzmiał dźwięk jeden, którego on nieraz w pieśniach jej słyszał; w tym krzyku krótkim, jedna malutka, milionowa cząstka znanego śpiewu jej była.

— Nie zobaczysz mnie już więcej! zawołał, puszczając omdlałą z rąk swoich—i wybiegł za próg chaty.

Warka do drzwi się rzuciła, wybiegła na podwórko, ulicę, nie było go. Gdzie Semen? pytała ludzi, ale oni się śmieli, nie rozumiejąc pytania. Kilku coś zagadało, lecz nie o Semenie jej mówili. Pytali, co znaczy ta czerwona plama od poziomek na jej fartuchu białym...

Słońce tylko co zaszło, jedna mała gwiazdka mrugała w błękitcie. Nie drogą przez wieś biegł Semenko. Przebiegł przez ogród swój, sąsiada jednego i drugiego, przeskoczył płotów kilka, w dół się spuścił ku łące zielonej, ku strumieniowi szeleszczącemu w zaroślach. Lecz nie zatrzymał się i tutaj—jakaś siła gnała go dalej i dalej, miedzami przez pola zbóż dojrzewających, do Zahubinego futora.

Mrok wieczoru zapadł, wieczór ustąpił przed majestatem nocy. Noc letnia zaigrała muzyką słowików i śpiewami molojców. W chatach zapalały się ogniska, przed chatami dzwoniły śmiechy dziewczek i brzmiał poważny starców rozhovor. Warka siedziała nad kołyską płaczącej dzieciny—sama—bez Semenka.

IV.

Cicho, straszno w Zahubinyrn było futorze. Białe listki topoli srebrzyły się w świetle księżycy i drżały jakby je strach trącał. Brzozy płakały długimi gałązkami i stały smutne i białe. Żadna ścieżka nie wila się przez bujną trawę zarośniętą ziemię, nie spostrzegłeś śladu żadnego duszy ludzkiej.

Na skraju gaju stało kilka grusz dzikich, pod jedną z nich znać było ocembrowanie na pół już zasypanej krynicy, nad którą żuraw długie, nieruchome ramię wyciągał niby zapomniana szubienica. Dalej nieco dostrzegłeś rozwalone zręby chaty jakiejś, po środku której sterczał rozwalony słup komina. Było to więc kiedyś mieszkanie ludzi, ale ludzi wypędziła siła nieczysta.

Pusto—smutno. Wiatr zakolysał sennemi listkami drzew, jakby im wieść jakąś przyniósł ciężką. Zaskrzypiał stary kruk u krynicy — to Nocnice wody nabierały w szklanne wiadro.

Między krzywemi drzew pniami jakiś cień się pokazał, szedł powoli i chwiał się. Za nim snuło się

odbicie jego własnej postaci, łamane przez światło księżyca. Zatrzymał się, spojrział na lewo i prawo, na drzewa spojrział i szedł dalej. Zbliżył się do krynicy, do gruszy jednej, starej, na pół spróchniałej i stanął. Poruszył rękami, jakieś tajemnicze znaki kreśląc w powietrzu, spojrział na gruszę i zaczął leżeć na nią. Trzeszczą suche gałązki pod nogami czarnego cienia i przykroszeleszczą listki, jakby się go bały. Zatrzymał się w połowie drzewa, pochylił ku jednej z gałęzi, jakby ją całował czy kąsał. Później odtrącił się silnie i skoczył, ale niedoskoczył do ziemi, zatrzymał się w powietrzu.

Księżyc duży, krągły jak tarcza złota szedł coraz wyżej i malował drzewa światłem białym—na gruszy wisiał okropny trup Semeńka.

Przyleciała sowa i siadła nad wisielcem, patrząc na nieruchome ciało świecącymi oczyma. Wyostrzyła dziób o gałązkę i stuknęła nim w głowę raz—drugi i trzeci. Stuk jej dzioba rozchodził się w powietrzu, bo noc była cicha.

W zaroślach coś zaszeleściało, coś szło ostrożnie, to wilk. Zatrzymał się, błysnął ślepiami i wietrzyć zaczął. Później zaczął biedz niezgrabnie i przybiegłszy do gruszy usiadł pod nią na tylnych łapach, patrząc na przedmiot wiszący nad sobą. Podskoczył, do drzewa podbiegł, na jego pień się wspinając, szczeknął—i znowu na swoje miejsce powrócił pod gruszę.

Sowa coraz gwałtowniej uderzała w czaszkę wisielca, zwierz zawył boleśnie z zazdrości wścickłej.

V.

Ten sam księżyc, który świecił nad Zahubinym futorem, patrzył w okna, rześcisto oświetlone kandelabrami świec woskowych, pałacu Dzelskich.

Po lśniącej posadzce balowej sali, sunął się wdzięczny kontredans, pan Henryk tańczył z panną Julją, strojną jak bóstwo posągów dawnych. Naprzeciw nich lekkimi ruchy płynął hrabia Goliński z córką dawnego rodu szlachecka, panną Durewiczówną z Głów-Zakutych. Orkiestra dobrana rznęła w trąby i oboje, idąc za przewodnim głosem skrzypiec; wiolonczelle rozspiewały się na dobre, klarnety przedziurawiały powietrze a i bas był w wesołym humorze. Szesnaście pań uwijało się, splatały się w pojedyncze kółka, rozchodziły się, wiązały w łańcuch długi, nakoniec w barwny roztoczyły się obraz, niby w wieniec kwiatów różnorodnych, między którymi kijanki zab czarnych przyczepiły się bez potrzeby. Później pierścień duży w drobne ogniwka się rozprysnął. Poczem pyszna promenada potoczyła się w krąg sali. Nastąpiły czarowne ukłony salonów i muzyka po małym przestanku brzęknęła walcem pierzchliwym.

Panna Julja siedziała w kole pań, dwóch kawalerów pomknęło ku niej. Już byli bliskimi celu, wyprzedzając się dyskretnie, gdy z boku przypadł pan Henryk i porwał przedmiot gonitwy. Jeden z wyścigowców cofnął się i wrócił, drugi z uśmiechem podbiegł do szczęśliwca.

— Panie Henryku! panie Henryku! zawołał — strzelać się będziemy! Czy pan mi ani razu nie pozwolił — tu głos zniżył — różę róż ująć?

— Panie hrabio! odpowiedział zapytany — róże do ujęcia nie łatwe.

— Nie panu przynajmniej, co masz skrzydła motyle, nie dające się przegonić w wyścigu. Panik rzekł, zwracając się do Julii i składając ręce jak do pacierza—litości nad biednym komarem! choć drugiego walczyka ze mną!...

Panna Julia dała odpowiedź łaskawą i poszła w płasy, hrabia wyjął jedwabną chusteczkę z kieszeni fraka i delikatnie nos utarł.

Na szerokiej kanapie siedziało grono matron, wyczepurzonych trochę za młodo i przypatrując się tańcom, udzielało sobie nawzajem sąsiedzkich nowinek. Gospodyni domu, a matki panny Julii nie było w salonie, miejsce jej zajęła pani Repetalska, siostra przyrodnia.

— Nie kłamię, jak Marcezia Kocham — mówiła wicegospodyni. Pan Wścibiński o mało nie miał pojedynku z Oblupalskim o tę tam... *vous savez*, żonę doktora Zdzierewicza. Wyzwali się na seryo i już pojechali do Warszenieckiego lasu z nabitemi pistoletami.

— I bili się? — zapytano.

— *Mais non!*

— *Domage!* Nasza okolica taka głucha, że to byłaby prawdziwa dla sąsiedztwa siurpryza.

— Ah! co pani mówi — odczwała się wdowa po Dewocińskim — jeszczeby się pozabijali i poszli do piekła. Mój mąż nieboszczyk był trzy razy wyzwany. Raz pierwszy uciekł, drugi raz unknął, trzeci raz schował się. Niegodziwcy nazwali go tchórzem, ale on oszczerstwo zniósł z pokorą i żył aż do śmierci...

— Wracam do rzeczy — zaczęła pani Repe-
talska.

— I dla czego się nie bili? — zapytała jedna
z dam.

— Pan Figand na miejscu, gdzie się miało odbyć
to krwawe spotkanie, postawił stół, zapelnięty prze-
kaskami i winem, co widząc przeciwnicy podali sobie
braterską dłoń zgody. Ale, ale, nie mówiłam paniom
o zajściu w Borejówce...

— O tym małym skandaliku z Zajżyńskim?

— *Mais il a reçu un soufflé!*

— Ale nie! nie! zaprotestowano jednogłośnie —
zamierzono się, ale nie dano.

— *Je vous jure*—że dano!

— *Mais non!*

— Dano! — upierała się ciocia panny Julii —
mam wiadomość z najpewniejszego źródła.

— Zkąd?

— *C'est mon secret* — prosił, żebyśmy nie wymie-
niała go za nic, zdradzić nie mogę, a co mnie w ucho
wpadło, to jakby do morza wpadło. On wie o wszyst-
kich szczegółach wypadku, zresztą, że egzagerować
nie lubi, to panie wiecie wszystkie o tem dobrze. Pa-
miętaście, kiedy nam opowiadał o scenie pana Filipa
z wdówką po Krepskim? Nikt nie wierzył, żeby ta
osoba *si posée* poszła na lep słówek pana Filipa i dała
się oszukać tak, przed ślubem, do którego nie przy-
szło, bo panicz zwinął chorągiewkę po otrzymanej
Wiktorii. Nie wierzono, a przecie pokazało się praw-
dą wszystko to, co mówił Tracewicz.

— To to mówił Tracewicz?

— On sam. Zajżyńskiego zsuflutowano, że wszedłszy do spółki z Picińskim i Dromem, oszukał ich na pięćdziesiąt tysięcy rubli. Potym wypadku wyjechał do Chersonu i, jak słyszę, kupił tam duży majątek, za pół darmo prawie. Teraz stroi kury do panny Skrobinoskiej i ma być dobrze widziany...

Nagły śmiech, który się rozległ po sali, przerwał niewinną pogadankę. Na zawrocie w walcu, pan Józef Gomojło, opłątany w kilkunastoletni tren swojej tancerki, pośliznął się i *brzdęknął* jak długi o ziemię. Kilka panien przybiegło mu na ratunek, ale pozycja była nader krytyczna. Zawinał się tak fatalnie, że damę swoją przykuł do siebie niewzruszenie, a przytem jakiś wypadek z ubraniem tancerza nie pozwalał mu podnieść się odrazu. Po szczęśliwem rozłączeniu niefortunnej pary, panna Dorota udała się do dalszych komnat dla przywrócenia swojego trenu do normalnego stanu, pan Gomojło także, dla jakiejś pewnie przyczyny, wyjść musiał.

Walca nie przerywano, muzyka dobywała anielskich tonów, wir tańca szalonem kręcił się kołem.

W przyległym pokoju zebrało się towarzystwo nie tańczących i zmęczonych zawrotnym tańcem mężczyzn. Jedni wachlowali się chustkami, inni palili papierosy i misterne kółka puszczali, ci mówili o Onufrejskim w Berdyczowie jarmarku, tamci o narkotycznych wodach Ostendy i miłosnym wypadku madame de Concombre z panem Kokolińskim.

Między mężczyznami znajdował się brat Henryka, pan Rupert, który nie tańczył, nie gadał, lecz wciąż manipulował wielkim palcem koło swojego nosa i stał w drzwiach salonu jak karyatyda, z bakenbar-

dami tylko, przypatrując się płasom, to co chwila ustępując z drogi wchodzącym i wychodzącym, na grzeczne *pardon*, równie grzeczne *pardon*, odpowiadając.

Po walcu poszedł grzmiący mazur, siarczyste hołubce klekotały w powietrzu, tancerki rozbiegały się, tancerze szastali się tam i siam, posłuszni rozkazom hrabiego, który, jako znany mazurzysta, prym wodził i komenderując hulaszczym ojców naszych tańcem, wołał co chwila:

- *Messieurs en avant!*
- *Les dames en arrière!*
- *Rondo!*
- *Changement des mains!*
- *Chêne!*
- *Au retour!*
- *Chêne chinoise—deux fois!*
- *A la place!*
- *Tour des maine!*
- *Reverence!*
- *Basta!...*

Zakończywszy ten szczeropolski taniec cudzoziemską komendą, gdy muzyka dla odpoczynku zaczęła grać jakąś aryę z Trubadura, a hrabia upewniwszy się raz jeszcze, że panna Julia drugiego walca z nim tańczyć będzie, udał się do pokoju mężczyzn, gdzie jakąś żywą prowadzono rozmowę o pałacej narodowej kwestyi naszej.

— *Pardon!* rzekł, przechodząc koło pana Rupertha, w drzwiach stojącego.

-- *Passer!* odpowiedziała karyatyda i usuwając się siadła na bliskim fotelu, muskając faworyty, to wielkim palcem operując koło nosa.

Hrabia zbliżył się do zajętych rozmową.

Koło stołu, na łokciu wsparty, siedział wszystkim znany ze swej prawdy i ostromówności, pan Hieronim Sercopolski. Wąs miał duży, siwy, na czole bliznę czerwoną, niby od cięcia szabli i u klapy surduta, w otworze guzikowym pasek błękitnej wstążeczki, u którego chwiał się krzyżyk niewielki z jakimś białym ptaszkiem pośrodku. Stary coś mówił, głos jego był silny i czysty. Coś niemiłego mówić musiał, bo słuchacze niecierpliwili się, chrząkali, ucierali nosy, rzucali jakieś słówka, na które nie otrzymywali odpowiedzi, dopóki nie skończył.

— Za ostro w nas godzisz, panie Hieronimie! — zawołano niemal chórem.

— Za ostro! mruknął stary. Stąpiłem już serce i język, wołając do was: opamiętajcie się, szaleć przestańcie, marzyć głupio przestańcie, a bierzcie się do pracy. Grunt wam się usuwa pod nogami, wypierają was z gniazd waszych, a wy, jak szaleńce, dniem dzisiejszym żyjecie tylko, a jutro da wam Rzym, Wiedeń lub przewrót europejski. Czekacie słońca, a rosa wam oczy wyjada, i kiedy słońce mogło by wam za błysnąć, wy ślepi nie znajdziecie kąta własnego, z kądy dobroczynne światło powitać. Wiem, że na jeden dźwięk starodawnej piosenki pobieglibyście naprzód. Tak nie raz bywało! Ale ta pieśń przebrzmiała, przebrzmiała, boście zawsze w połowie drogi wracali, popaliwszy mosty za sobą. Dziś walka wasza na roli, w obronie ziemi, którą wam *utrzymać* wolno. Ostatnie

to szance, po wzięciu których będziecie podobni do wiatrem zerwanej przedzy pajęczej...

— *Bon! bon!*... nie ma co mówić! zawołał hrabia, któremu krew zawrzała po kilku kieliszkach wypitych w mazurze. Trzymajmy się, panowie, trzymajmy się! a ocaleni będziemy.

— Dobrze mówisz, panie hrabio—zawołało kilka głosów—trzymajmy się!

— Ale jak? huknął ktoś z kąta.

— Jakto jak? zwracając się do głosu, odkrzyknął hrabia. Czyż nie rozumimy znaczenia tego wielkiego słowa, trzymajmy się!...

Zacisnął pięście i o mało nie zgrzytnął zębami.

— Prowadź rzecz dalej, panie hrabio, ślicznie mówisz!—odezwał się jakiś szlachcic gruboskóry, któremu na imię było Jaksza.

— Trzeba rzucić zarys jakiegoś projektu — zapiszczała niewielka figurka stojąca pod piecem.

— Projektu—tak! zawołano.

— Program stworzyć zupełny!—ktoś wrzasnął.

— Panowie! pozwólcie, że głos zabiorę — odezwał się hrabia, rad będąc nie tylko w mazurze być pierwszym.

— Dobrze, słuchamy!

— Jeszcze jedna kwestyjka — zawołała figurka z pod pieca.

— Hrabia ma głos! — krzyknęto.

— Słoweczko!...

— Szal

— Ja także mam coś dorzucić.

— Pst! pst!...

— Panowie! mówię— grzmiącym głosem zawołał hrabia.

— Pięknie panie—zadecydował Jaksą.

Panu Sercopolskiemu twarz czegoś posmutniała, opuścił wzrok ku ziemi i myślał—ja nie wiem o czem.

Nakoniec uciszono się, hrabia zajął miejsce za stołem i zaczął:

— Rad jestem, panowie, że daliście mnie pierwszemu zabrać głos w tak ważnej sprawie. Gdzie chodzi o nas i dziatki nasze, (pan hrabia prawdopodobnie dziatek nie miał, bo był kawalerem), gdy chodzi o świętą sprawę, której dziś jestem rzecznikiem, tam odrzuciwszy wszelką prywatę na bok, zastanówmy się głęboko, rozpatrzmy szeroko, co i jak robić mamy, żeby, jak to pięknie szanowny pan Hieronim powiedział, nie usunął się grunt nam pod nogami. Jesteśmy ze wszech stron naciskani przez nieprzyjazne nam warunki; wytrącają nam miecz z ręki, a my go nie chwytamy w powietrzu, lecz kopnięciem nogi własnej precz odrzucamy. Dzisiaj, jedynym, jedynym naszym obowiązkiem trzymać się ziemi, którą po ojcach w spuściźnicemy wzięli... (pan hrabia nie miał nic, bo wszystko za granicą przetrwonił). A jakże nam łatwo to uczynić w tej krainie mlekiem i miodem płynącej! Ale, zamiast pracy mrówczej koło roli, z myślą jutra, my rzucamy pieniądze na świecidełka zagraniczne, które tylko ściany naszych mieszkań zdobią; nieobecni w kraju, wydzierzawiamy fortuny pragnącym zysków doraźnych, samym byleby tylko grosz łatwy złapać, którym opłacamy hotele w Nicci, jak złamany szeląg, nam znane; rzucamy się w gry

kart namiętne, które tysiące z rąk nam wydzierają, czy nie tak?...

Zatrzymał się, jakby czekał potwierdzającej odpowiedzi.

W tej ważnej chwili rozstawiano zielone stoliki i pan Aloizy Szlafski *et compagnie*, amatorowie prefersansowej z kociołkiem rozrywki, brali do rąk po cztery asy, które mieli wybierać zwolennicy zabawy królewskiego obłąkańca.

Hrabia ciągnął rzecz dalej.

— Nikt z was nie zaprzecza, panowie! Znamy zło to nasze, a uwolnić się od jego sideł sił nie mamy... Porzućmy tę ohydłą żądzę dorobku łatwego, który nam drogi czas zabierając, rzuca w objęcia lichwy, usuwa grunt z pod nóg naszych, do którego nie wrócimy już—nigdy! Pamiętajcie, panowie, że na nas, na nas właśnie młode pokolenie patrzy i od nas czeka wyroku życia lub śmierci. Mamyż mu los zgotować włóczęgów bezdomnych? zniesiemyż sąd przyszłości, która w oczy nam rzuci straszliwy wyraz—zdrady?!

Zatrzymał się znowu. Wszystkich oczy były na mówcę zwrócone, gorzały ogniem zapалу, mocą postanowienia.

Hrabia mówił dalej:

— Precz więc bezmyślne trwonienie fortun naszych! precz dzika żądza gier potępionych, bożyszcze szaleńców i głów jałowych!...

— Panie hrabio, grasz? — podchodząc nagle zapytał Szlafski i rozłożył przed nim trzymany w ręku kart cztery.

— Gram! — odpowiedział hrabia krótko.

I wybrał.

— As treflowy, będę na rękul

Położył kartę przed sobą.

Szlafski obchodził towarzystwo, wszędzie krótkie „gram!” dało się słyszeć.

Hrabia mówił dalej:

— Na miłość więc, panowie, przeszłości, na pamięć o przyszłości, podajmy dłoń zgody i w ściśniętym szeregu z oczyma zwróconemi na wielki cel, jaki mamy przed sobą, idźmy naprzód, silni postanowieniem, rozumem dumni, mężni w poczuciu obowiązku świętego. Trzymajmy się bracia, bo zwalić się łatwo pochylonemu drzewu, gdy próchno korzenie podjada.

— Brawo! — zakrzyczano ze wszęch stron.

— Brawo! slicznie!

— Do łez rozczulił!

— W samo serce uderzył.

— Oczy otworzył!..

Zawrzało jak w kotle, ściskano ręce, całowano mówcę. Pan Jaksa jak bóbr płakał..

— Oto powiedział! oto orator! Archimedes drugil... któżby nie rzucił tego przekłętego prefe...

— Pan gra? — zapytał Szlafski, trącając Jakse w łokieć.

— Gram! — odpowiedział Archimedes.

I podszedłszy do hrabiego w oba policzki go cmoknął.

— Cycero! Cycero! Cycero!... trząśł głową, do zielonego stolika siadając.

W czasie gwaru powinzowań, pan Sercopolski wstał ze swojego miejsca i niepostrzeżony opuścił towarzystwo.

Henryk podszedł do mówcy promieniejącego i spotniałego i ściskając rękę, rzekł do otaczających:

— Pan hrabia w pięknej swojej mowie, poruszył jedną tylko stronę kwestyi, ja chcę powiedzieć o drugiej, nie mniej ważnej, która przy dobrej woli i zrozumieniu chwili naglącej, błogosławione na przyszłość może wydać owoce. Jest to stosunek nas, obywateli, do ludu wiejskiego. Mówimy nieraz, że po rozwiązaniu kwestyi włościańskiej, wpływ dworu upadł; że chłop, mając samorząd, jakim się nie koniecznie mogą poszczycić najkonstytucyjniejsze państwa w Europie, z pod naszego wpływu usunął się na zawsze. Tak nie jest! kto zadał sobie choć chwilę pracy przypatrzenia się temu ludowi, kto wchodził z nim w tak bliskie, jak ja stosunki, ten wie, że na tem polu możemy zdziałać wiele i wiekową nienawiścią odwrócone od nas serce jego, do naszego znów przyłgnąć może. Na to dowodów nie zbraknie, byleby na rzecz nie patrzeć przez lupę przesądów i nielogicznych uprzedzeń. Uwolnienie włościan poprawiło nasz z nim stosunek. Dawniej oddany pod bezpośrednią władzę pana, widział nad sobą karzącą tylko rękę, niesprawiedliwość go oburzała, w sercu zawsze człowieczem, rodziło się pojęcie krzywdy, którego następstwem były, naturalne uczucia wstrętu i zawiści. Dziś oswobodzony z pod gniotącego jarzma panów, będąc na równych z nim prawach, dawnym gniewom i żalom pozwoił rozlać się szeroko, które nie tłumione straciły moc wybuchu. I w tem leży pierwsza wygrana nasza. Lecz idźmy dalej! Nowi przybysze, nie znając jego wad ni zalet, jego zwyczajów i usposobień, są mu zupełnie obcy, a postępowaniem brutalnem

i gwałtownem, w bardzo prędkim czasie pozyskali nienawiść; do nich odnosi się ze wstrętem, dla nas jest obojętnym. Obojętność, to wiele, panowie! Jest to strzałka wagi, stojąca równo między dwoma szalami: miłości i nienawiści. Od nas zależy, która z tych szal ma się pochylić. Z ludem jesteśmy ciągle: przy rolnej spotykamy się z nim pracy, widzimy go w domach naszych, zadajmy sobie trudu nieco, a możemy być niemal świadkami myśli jego i pragnień. Wierny dawnym zwyczajom przychodzi do nas z kolendą i jajkiem wielkanocnem; wesele się żadne nie obejdzie, żeby pana o błogosławieństwo nie prosił, a wieleż razy o poradę dobrą, o pomoc lekarską, czy w zawilej sądowej kwestyi do nas się udaje. Naszem więc zadaniem, źle mówię! obowiązkiem sumienia naszego, jest, ten stosunek umocnić, w braterski węzeł zamienić. Utrzymujmy jego tradycyę, zwyczaje i wierzenia, te nici, któremi nas z nim daleka przeszłość złączyła. W rękę naszym jest miecz do ich rozcięcia i wola dobra do splecenia w łańcuch nierozzerwalny. Niech z domów naszych wychodzi na jego choroby—lekarstwo; na jego kłopoty—pociecha; na jego obyczaje—moralność. Postępowaniem takim nauczymy go wierzyć nam. Niech mężczyzna przychodzi z zaufaniem, do którego powinniśmy dać mu prawo, nie bojąc się niechętniej odprawy; niech niewiasta każda do każdego z nas się udaje, nie lękając się płci swojej lekceważenia. Bądźmy moralni, a wstydzicie się nas będą; bądźmy dobrzy, a kochać nas będą! Żyjąc wśród niego i z nim, miejmy w nim brata nie wroga. To drugi nasz obowiązek, za niewypełnienie którego, historia nas odsądzi od nazwiska ludzi....

Przemowa Henryka nie zrobiła tak wielkiego wrażenia, jakiego by może orator pragnął. Pochwalono go, prawda! lecz tak, jak się chwali wrzeszczącego kanarka lub suknię popielatą. Pan Jaksza nawet ziewnął parę razy i mruczał pod nosem, że tego „chłopomaństwa“ nie lubi, kręcił głową i co chwila: te! te! te! powtarzał.

Była przecie jedna osoba, która patrzyła w twarz Henryka, nie spuszczając na chwilę swych oczów; którą zapal jego rozgrzewał, którą mowa poważna wbijała w dumę, której lica się rumieniły i pierś wstrzymywała oddech, gdy głos podnosił, gdy mówił o obowiązkach sumienia, jakie na nas przeszłości przyszłość nakłada.

Tą osobą była Julja.

Nie widziana, ukryta za fałdami kotary balowej sali, słuchała głosu kochanka, a sercem drżała. Gdy przechodził przez drzwi, wracając do tanecznego grona, nie mogła nie zatrzymać go, nie podziękować.

— Panie Henryku! — szepnęła.

Henryk zwrócił się.

— A, to pani!

— Złapałeś mnie pan na gorącym uczynku, możesz się gniewać na mnie, ale ja przewinienia nie żałuję.

— O czem pani mówi?

— Podśluchiwałam pana, gdy mówiles...

— A!

Uśmiechnął się.

— I dziękuję panu za chwilę rozkoszną, jakąś mi sprawił — dodała wyciągając rękę.

Pan Henryk malutkie uściśnął paluszki i nachylając się spytał:

— Czy można usiąść koło pani?

Julia się zaśmiała.

— Jaki pan nieśmiały! siąść przy mnie się boisza...

Rumieniec twarz całą oblał.

— Całować nie — dokończył szeptem pan Henryk.

Za dar domysłności dostał dwa klapsy wachlarzem i spojrzenie, jakim śliczna, w wiosennych dniach młodości miłość patrzy.

— My nie Kochamy się tak, jak się inni Kochają — mówiła półgłosem — u nas wszystko inaczej i niezwykajnie.

— Nawet *rendez-vous* o południu.

— I zbieranie narzeczonej poziomek w chustkę od nosa — dodała szybko.

Henryk poruszył głową.

— A — niedobra!

— A pan niedyskretny. Ale przeszkodziłeś mi, coś mówić miałam... a! U nas wszystko niezwykajnie, więc i zaręczyny nasze inaczej niż u zwykłych śmiertelników odbyć się powinny. Najwłaściwsza chwila do zaręczyn jest dziś po wysłuchaniu mowy pana i — po tem — co... w lesie było.

Usta jej bawiły się uśmiechem rozkosznym, ale Henryk czegoś posmutniał i zmarkotniał.

— A czegoś pan tak się zmarszczył? — spytała patrząc mu w źrenice.

Pan Henryk wypogodził czoło.

— Czy może nie jesteś kontent z tego, co w lesie było?

— Ale nie! nie! przeciwnie, co bo mówiąc...

Śmiał się...

Julja zdjęła złoty pierścień z palca i podała Henrykowi.

— To w zakład wiary.

— A to mój!

Zmienił pierścionki.

Nie dziwny się śmiałości młodej pary, gadającej przy tylu osobach o pocałunku i miłości, zamieniającej złote kółka pierścionków. Siedzieli osobno, mówili cicho, a w sali było gwaro i muzyka wygrywała jakies *potpourri* z oper całego świata. Zresztą sąsiedzi się domysłali, że coś się kleiło, domysłali tylko, bo na szczęście ciocia Repetalska i wszystko wiedzący Tracewicz, w sekreta młodej pary wtajemniczeni nie byli.

Po nużących tańcach była chwila spoczynku i oddechu. W jadalnej sali dzwoniły kielichy i stawiano półmiski, co miłe wywierało na panu Jaksie wrażenie. Pan Dżelski chodził z kąta w kąt i wiele razy zbliżył się do muzyki: z Normy coś z Normy zagrajcie! powtarzał. Towarzystwo było wesołe, śmiano się, gadano, kilka panienek tylko bawiło się w chowanego, ale to były młode kozy z golemi jeszcze kolanami, dla których kąciki za drzwiami i kanapkami najważniejszym były miejscem pobytu. W przyległym pokoju grano w karty, hrabiemu coś nie szło, siedział z nadąsanemi policzkami, zadumany jakby myślą szukał kredytu na okrągłą sumkę parę tysięcy. Do kóz młodych nie należał tylko pan Rupert, który się też za kanapy nie chował, ale siedział

w głębokim fotelu nieruchomy i poważny jak Mojżesz Michała Anioła w bazylice Piotrowej.

Panna Julja wezwana przez ciotkę udała się do rozpaplanych matron, Henryk wzdłuż sali zaczął spacerować.

— *Henri!* — odezwał się pan Rupert do zbliżającego się brata.

— Co każesz?—zapytał Henryk, stojąc naprzeciw.

— *Prenez place—un mot.*

Henryk usiadł.

— O czym to tak gawędziliście zawzięcie?

Pan Henryk trochę się nastraszył.

— Słyszałeś?

— Gdybym słyszał, tobym nie pytał — odpowiedział powoli Mojżesz nie Michała Anioła roboty.

— Panna Julja rozpytywała mnie o... o kalfiorach...

— Pytałem coście mówili w gabinecie fajek — odparła nie fajka — ty i hrabia?

— A!...

Henryk mógł nie zrozumieć pytania Ruperta, bo od wygłaszanych mówek upłynęło pół trzeciej godziny.

— Potrąciliśmy kilka społecznych kwestyj—odpowiedział.

Rupert machnął lekceważąco ręką.

— Mówiliśmy — ciągnął Henryk — o obowiązkach naszego obywatelstwa w chwili dzisiejszej i o jego pracy dla potomności...

— To mnie mało obchodzi, więcej interesuje to, kiedy mi dług oddasz, wypłaty którego do tej pory nadaremnie czekam?

Pan Henryk wolał by potraćać więcej oderwane kwestye, ale pan na Zdechlaczce nie lubił się bawić w abstrakcye.

— Przykro mi bardzo Rupertku, ale wiesz, moje interesa...

— Las — rzekł pan Rupert krótko.

— Dają szalenie mało! Kupcy trzymają się w cennach, znając moje interesa.

— Jeżelibym miał czekać kiedy te ceny się podniosą w skutek polepszenia się twoich interesów, to musiałbym zwątpić w odebranie swojego kapitału.

— Ale oddam, postaram się, oddam, nie nalegaj dziś tylko, bo dziś nie mogę...

— Ale ja czekać nie mogę—nie mogę, za nie! I choć boleśnie mi będzie nad wyraz, będę zmuszony użyć kroków prawnych.

— Przecież z tobą nie jest tak źle?

— Spytaj z kim jest dobrze.

— Masz jeszcze grosz leżący w banku.

— A od czego Hamburg i Ostenda? Ty wiesz co to kosztują Hamburg i Ostenda.

— Ale na cóż ci tak gwałtownie, teraz?

— Na wyjazd do Ostendy.

— Chory jesteś?

— Nie.

— Może żona cierpiąca i czuje potrzebę kąpieli?

— Nie.

Pan Henryk spojrział na brata.

— Ruperciel!

— *Henri!*...

— Jeżeli teraz wytoczysz mi proces, zgubisz z kretešem, zaczekaj rok, dwa...

— Nie mogę.

— Roku nawet?

— Ani.

— Cóż nagli?

— Wyjazd do Ostendy. Moja żona chce pojechać do Ostendy, a ja ztamtąd zawrócę do Hamburga i do Rzymu. Chcę tam być w czasie uroczystości w dzień Piotra i Pawła i pomodlić się u grobu apostołskiego.

— Odłóż tę podróż na rok przyszły.

— Zrobiłem intencję na ten.

— Proszę!

— Nie mogę.

— Pojechałbym i ja z tobą.

— Trafię i sam.

— Ruperciel!

— *Henri!*

Ziewnął i operując wielkim palcem koło nosa, odezwał się głosem powolnym:

— Dlaczego stan fortuny swojej w takich czar-nych przedstawiasz mi kolorach? Tak źle nie jest.

— Jest.

— No?

— Zgrałem się.

— O!...

— Widzisz!

— Gdzie?

— W Kijowie, w obywatelskim klubie.

— Dużo?

— Szesnaście tysięcy.

— O!...

— A co?

— Nie wiedziałem, że jest klub taki w Kijowie, gdzie tak zgrać się można. Muszę z nim się poznać.

— Ja ciebie wprowadzę.

— Do takich klubów ja sam się wprowadzam.

— Kochany Rupertku, więc poczekaasz? będziesz cierpliwy?

— Nie.

Daremne były najczulsze molestowania pana Henryka, karyatyda okazała się niewzruszoną.

Zagrano walca. Z szmerem i szumem poruszyły się pary, Henryk został i naciągając białe rękawiczki, eleganckim ruchem szedł przez środek sali, wymijając zreżnie tańczących. Hrabia przegrawszy dwa tysiące siedemset trzydzieści i trzy ruble groszy szesnaście (groszy szesnaście zapłacił, a na resztę krótko terminowy skrypt wydał), wbiegł do sali lekko, jakby niemilego zbył się ciężaru i stając na przeciw Julji, zawołał:

— Walczyk mój! drugi walczyk ze mną!...

— Z panem!—odpowiedziała.

I w plons poszła.

Hrabia uwijał się zgrabnie, lekko, posuwicie, jak motyl trzpiotliwy koło chylonej wiatrem, umykającej przed nim na pół rozwiniętej róży. Przeplynał kilka razy salę tam i napowrót, skręcił się na lewo, prawo, do krzeseł się zbliżył i sadzając zmęczoną Julię usiadł koło niej. Po chwili drobne paluszki, ubrane w rękawiczki białe, złożył jak do modlitwy i rzekł sentymentalnie:

— Pani!

— Panie! — odpowiedziano.

— Ten wieczór mnie upaja... upaja...

Panna Julja się uśmiechnęła.

— Dużo kwiatów koło strojów pań i w wazonach.

— To nie wpływ kwiatów — odpowiedział.

— Może perfum.

— Ah!...

— Zgadłam?

— To nie wpływ kwiatów i perfum, powiadam.

— Ale...?

Hrabia milczał chwilę.

— Pani.

— Mam więc własność alkoholu?— rzekła z wesołym uśmiechem.

— Haczisu, które złote rojenia daje. !

— Sen haczisowy miły, ale po przebudzeniu się głowa boli i—nudzi! Lepiej trzeźwym być zawsze.

Wstała i podeszła do zwierciadła, poprawiając przed niem gałązkę powoju u włosów, hrabia pożerał ją oczyma.

— Dwakroć ma!

Pomyślał i poszedł w faraonie szczęścia szukać.

W jadalnej sali coraz głośniejszemu brzękano półmiskami, do której od paru już godzin niecierpliwy pan Jaksza zaglądał, upraszając kamerdynera o pośpiech i po raz setny, pytając:

— A co po zupie będzie?

— Paszтет.

— Mięszany?

— Cyranki, kwiczoły, sarnina.

— A podlany czem?

— Sosem truflowym.

Pan Jaksa wciągnął powietrze nosena.

— Czuję zapach!...

I cmoknął prawdziwie ustami.

— I smak...

Nie długo czekał, marszałek dworu wszedł do sali, objawiając głosem stentorowym wieść pożądaną.

We wszystkich pokojach wszczął się ruch niezwykły, mężczyźni podawali ramiona paniom i szli do stołu. Przyszli, siedli, nabierali z półmisków podawane potrawy, kilka hucznych toastów wypili, nabierali nowownoszone, śmieli się, gadali, następnie, co naturalnym porządkiem rzeczy wynika, ocierali buzie serwetkami i po spożyciu wyśmienicie zamrożonego szampana, powstali napojeni i syci. Kiedy zbliżali się do stołu, pan Dzelski podszedł do muzyki i rzekł:

— No, teraz z Normy, z Normy zagrajcie! a jak będą pić zdrowie mojej córki, wyrznicie nagle fanfarę we wszystkie trąby i bębny...

To też łagodny śpiew Normy pomagał biesiadnikom w trawieniu, ale przy toaście wzniesionym na cześć córki gospodarza domu, muzycy fatalnie się zmylili i zagrali taką fanfarę, jaką koty w miesiącach marcowych na dachach śpiewają. Śmiech powstał ogólny, jeden tylko pan Dzelski promieniał, całując trzykrotnie czoło ukochanej jedynaczki. Fanfara na złe gościom nie wyszła, huczne oklaski dano artystom i przypito do niemogących złapać taktu muzykantów. Weselość panowała serdeczna, we wdzięcz-

nych podrygach, młodzież płci obojej balową napelniła znów salę.

— Mazura! — zagrzmiało...

Zaklekotały bębny, gardła tromb się rozdarły i smyki skrzypiec i basetli popłynęły po strunach w dźwiękach skocznych. Nawet pan Jaksa się ruszył i *kieby góra* sunął naprzód z wulkanicznym, krateru ust swych, sapaniem. Jedna tylko karyatyda stała w drzwiach sali sztywna i nieruchoma, manipulując wielkim palcem u nosa. Taniec szerokiem kołem obiegał komnatę, kilku zapalcenców wśliznąwszy się na woskowanej posadzce, wpadło z całym impetem na pana Ruperta, który nie ruszył się wcale, nie syknął nawet gdy udeptano palce, lecz bohatersko wytrzymując szturm mimowolny, pogladził faworyty i znów powrócił do ulubionej pracy koło nosa.

Po krótkim oddechu nastąpił elegancki lansier, później walc kotylionowy przeplatany galopadką, następnie polka *trambelka*, jak ją nazywał pan Jaksa, a gdy pogaszono światła, dla zbliżającej się dnia jasności, balu szal białym mazurem się zakończył.

Przed pałacem zaturkotały pojazdy.

Gospodarz zmęczony i senny wyprowadzał gości, dziękując za uczynioną mu łaskawie rozrywkę. Tancerki blade i na pół omdlałe, w pomiętych strojach i kwiatach opadłych, zanurzały się w głąb karet, zmrużając senne powieki, może do snu, do marzeń może... Niektóre mamy były zadowolone z swych córek, inne wzdychały smutnie, widząc zmarnowane zabiegi, nieudane szturm, zniszczone plany, które z całą znajomością salonowej strategii nakreśliły.. Ręce rumaki unosiły w zamkniętych karetach myśli

rozpłomienione nadzieją miłości i żalem zaprawne, weselny uśmiech na ustach i łzy w oczach, przedęgi mar rozkosznych i nowowiązane sieci na szczygłów zbyt ostrożnych... Nie odjechali tylko Henryk i hrabia. Henryk *miał* racją zostać, a hrabia *sądził*, że miał racją. Dwakroć panny Julji haczisowym były mu nektarem i mimo zalecanej trzeźwości, upajał się myślą lubego ich posiadania. O sobie na chwilę nie wątpił i choć widział, że panna Julja częściej w rozmowie zwracała się do pana Henryka, piękniejsze mu posyłała uśmiechy, czuł się w swoich marzeniach nieomylnym jak Papież. Ta pewność była u hrabiego do tego posunięta stopnia, że gdyby nawet widział jak zamieniali pierścionki, nie zatrwożyłyby się wcale ani na bezsenność narzekał. Spytacie może, łaskawi czytelnicy, co przemawiało za nim?... On sam przemawiał i jakkolwiek niebieską żył manną, nie orząc ani siejąc, bo oprócz fraka, białych rękawiczek i nieodłącznych do całości ubrania dodatków nie miał, o jutro się nie troskał i dobremu humorowi psuć się nie pozwalał. Ale, prawda! na dalekiem niebie jego przyszłości świeciło gwiazdek kilka. Na Litwie miał dziadka po kądzieli, którego zejścia niecierpliwie oczekiwał, ten dziadek miał niewiele, ale miał!—na Podolu stryjasek jakiś coraz częściej pokasliwał i pluł brzydko, ten również miał coś—i to dobrze! a i na Wołyniu jedna złota znajdowała się cioteczka, co miała folwarków z dziesięć, co już było bardzo dobrze! Ot! i ziarnko do ziarnka, zebrała się miarka, a pana nie zawsze djabli biorą. Prawda, że potrzeba było, żeby dziadunio zasnął w Bogu, stryjasek kaszel zadławił, cioteczkę aniołowie wzięli, ale

hrabia miał nadzieję, że to się wszystko z czasem stanie i we wszystkich gazetach najsumienniej nekrologi studjował. Gdy jednak pożądanej nieotrzymał wiadomości, a grasująca w tamtych stronach ospa, z powodu zapobiegliwego szczepienia, żadnym plonem pochwalić się nie mogła, stał się nieco podrażnionym i przeszedłszy do obozu nieprzyjaciół waksyny, powstawał przeciw barbarzyńskiemu zwyczajowi krajania rąk ludzkich wyżej łokcia, a dowiedziawszy się o złem powietrzu w Wetlance, sprowadził baryłeczkę niewinnej rybki i złotej cioteczce na dzień jej imienin przesłał. Ale złota cioteczka rybki zjadła i nie zadumiała się nic a nic, co znowu było powodem, że złe powietrze hrabia za istny gazeciarski wymysł uważał i od tej chwili stał się nieprzejednanym przeciwnikiem prasy peryodycznej. Upewniał jednak wszystkich, wzdychając ciężko, że wkrótce dziadek, stryjcio i cioteczka osierocą ziemię, bo bardzo starzy byli. Panna Julja domyślała się załotów hrabiego, ale wielkich nie czyniła mu wstrętów, bo pan hrabia bawić ją umiał, szczególnie opowiadaniem o swojej podróży balonem, który pękł pośrodku Atlantyku, a on lecąc z góry na dół (bo z dołu do góry lecieć nie mógł), upadł na maszt angielskiego okrętu i uczepiwszy się jego szczytu, na którym w czasie jego podróży wygodnie się usadowił, nie zlął dopóty, póki parowiec płynący z Ameryki, do Portugalii nie zawitał. Król w otoczeniu dworu wyszedł na jego spotkanie, królowa uczuła niepokój w sercu i od ust mu nieznaczny posłała pocałunek, w dzwony uderzono i z dział bito. Szeroko o tem

pisaly w swoim czasie gazety, które pan hrabia miał u siebie, ale nikomu nie pokazywał.

Po wyżej opisanym balu dni jeszcze kilka siedział hrabia i przesiedział Henryka, który na dzień drugi, ucałowawszy drobne narzeczonej rączki, do Koszłakówki wyjechał, a że to było blisko, kazał sobie przyprowadzić wierzchowca i późnym wieczorem w niedaleką podróż się udał.

VI.

Noc była jasna, księżyc pośrodku stał nieba i wesoło gwiazdy mrugały. Trącane lekkim wiatrem chyliły się kłosa pszeniczne i szumiały, miodowy zapach hreczki rozchodził się w powietrzu.

Koń pana Henryka pomykał szybko, lotnemi kopyty ledwie muskając ziemię; wąską ścieżką między ruchomym wałem zbóż, płynął jak ptak powietrzny. Wyciągnięty jak strzała mknął naprzód, skreślił się na prawo, w dolinę i ukrył się w cieniach drzew Zahubinego futoru. Henryk nie ściągał cugłów, nie powstrzymywał biegu konia, który dobrze znajomą drogą, wymijając pnie i doły, biegł razno, parszkając, to strzyżąc malutkimi uszami.

W gaju było cicho, księżyc srebrzył brzoza wiotkie kolumny i białe listki topól. Biegowi araba towarzyszyły szelesty traw, obfita rosa zbijana kopytami rozpryskała się w iskry brylantów. Na pniach drzew, przez promienie księżyca odbite, migaly szybko cienie jeźdźca, łamały się, zabiegały drogę, pelzały wydłużone po ziemi, jakby duchy gaju gniewne za sen

przerwany z ciemnych powstały kryjówek i za uciekającym gonily. Nagle koń wstrzymał się gwałtownie aż przednich nóg kopyta w miękkiej ziemi ugrzęzły, rozdał chrapy, parsknął, budząc ze snu przestraszone echa i ptactwo nocne... i skoczył w bok z taką siłą, że o mało jeźdźca z siodła nie zsadził.

Pan Henryk zachwiał się.

— Hola! ho! — krzyknął, zciągając cugle i głaszcząc miękki włos grzywy zjeżonej — a czego żeś się tak strwożył?

I zwracając opornego rumaka, wrócił na miejsce.

Oświecona blaskiem księżycy szarzała świeżo co usypana mogiła. Koń ostrogą naglony zbliżał się do niej zwolna, trwożliwie, wyciągając szyję i wietrzając...

— A to co? — mruknął Henryk — przed parą dniami jechałem przez ten futor i nie spostrzegłem żadnego usypiska...

Przeżegnał się, cmoknął i ruszył wyciągniętym kłusem.

W minut kilka stał przed zamkniętymi wrotami wsi. W budzie uszytej ze słomy drzemał stróż pól wiejskich.

— Kiryło! — zawołał Henryk.

— A he?! — odpowiedział zapytany.

— Oczyny worota!

— A kto tam?

— Ja, skoryj! — krzyknął pan niecierpliwie.

Kiryło wysunął się niechętnie i do wrót się zbliżył.

— A co to za mogiła w Zahubinyńm futorze? — spytał Henryk.

— Semen obwisywsia.

Panu Henrykowi brwi się ściągnęły i lekka bladeść twarz powlekła.

— Semen?—rzekł powoli — no! a dla... czoho?..

— Boh joho znaje! Jakaś neczysta syła zahłanuła jomu w oczi, taj prymanuła do hruszki. Suzenoho i konem ne objidesz! — zakończył Kiryło. otwierając wrota skrzypiące.

Henryk nic nie odpowiedział, emoknął na konia i popędził do dworu.

We dworze było cicho, spali wszyscy, prócz Morducha, który miał psie czucie, że pan przyjedzie, i siedząc na ogonie u progu bramy, oczekiwał jego powrotu. Posłyszawszy daleko tentent, zawył radośnie i gdy pan koło stajni zsiadł z konia, pośpieszył z powitaniem. Lecz i teraz jak w lesie za niewczesne pieszczoty, otrzymał mocne cięcie spicrutą—skręcił się, zaskowyczał i wsuwając łeb do budy, pomyślał pewnie: jak ci ludzie nic się na wdzięczności nie znają!...

Pan Henryk zbliżył się do domu, cicho otworzył drzwi do sieni i na palcach, jakby lękał się kogo obudzić, szedł przez pokoje.

W jednej z komnat błyskało słabe światło nocnej lampy, była to sypialnia matki Henryka.

Na palcach, unikając najmniejszego szelestu, Henryk zbliżył się do drzwi pokoju staruszki i w progu stanął. Spojrzał na cicho śpiącą i posławszy jej od ust pocałunek, wrócił do siebie. Nie prędko jednak zasnął, znać jazda konna i orzeźwiający chłód wieczoru, odpędziły sen z jego powiek.

Na drugi dzień, koło godziny jedenastej, obudził się i wypiłszy kawę, poszedł do matki dzień

dobry zanieść. Nie zastał jej, staruszka lubiła słońce i kwiaty, a słońce dnia tego świeciło jasno i kwiatów było dużo. Kazała zawieźć się do ogrodu w kłęb kwiatowy i drżącymi palcy, łowiąc kielichy lilji i róż, zbliżała pełne i wonne do ust wybladłych.

Była to kobieta lat sześćdziesięciu, ślady dawnej piękności i dziś dostrzegłbyś na jej twarzy bladej, przezroczystej, czarne oczy nie straciły blasku dawnego, a włosy srebrne z pod białego wymykające się czepeczka, dodawały jej jakiejś ciszy i powagi. Życie jej niegdyś było jednym pasmem szczęścia. Mąż kochał, dzieci rodziła zdrowe i na zbytki nie brakło. To też los zawistny pozazdrościł jej tego nieziemskiego, niczem niezakłóconego spokoju. Paraliż od lat kilku odjął jej nogi, a i coś w krtani ścisnęło i mowy pozbawiło. Osłabła, postarzała, ale nie zbyła się pogody ducha, bo duch ten i w cierpieniach był silny. Miała Boga na niebie, przy sobie syna, który jej czułą odplacał wdzięcznością za trudy poniesione, kiedy jeszcze był dzieckiem, miała słońce i kwiaty, z którymi się bawiła i całowała.

Henryk odnalazł ją właśnie siedzącą na wózek w kłębach róż, śmiejącą się do nich i muskającą wywiędłymi dłońmi delikatne listki kwiatów. Słońce jasno oświecało drzewa parku, słowiki się klóciły, nad szmaragdowym aksamitem pięknie wykrajanych gazonów, żółte i błękitne gonily się motyle. Staruszka, nie wypuszczając z rąk kwiatów, na słońce patrzyła, słuchała ptaków szczebiotu, oczyma biegła w powietrzne ślady dróg motyli. Henryk zbliżył się, ucałował ręce drogiej mamy i przyklękawszy na jedno kolano, zaczął jej mówić o balu.

— Mamo! ja pannie Julii się oświadczyłem.

Staruszka się uśmiechnęła radośnie i głową poruszyła, jakby chciała mówić: dobrześ zrobił!

— Nie mam potrzeby dodawać, że zostałem przyjęty.

Matka z powagą głowę podniosła, jakby tym ruchem powolnym chciała powiedzieć: i któraż memu synowi odmówićby mogła?

— Mama zna Julkę—ciągnął Henryk— to bardzo dobre dziecko. Będzie dobrą żoną i kochać mamę będzie jak córka rodzona, pilnując i dogadzając we wszystkim. Jabym także chciał mieć towarzyszkę życia i gospodynię, zajęlibyśmy się pracą (pan Henryk w tej chwili myślał o Paryżu, bo miałby na podróż), i tak na głobie, którą mi drogi ojciec zostawił, w cichem szczęściu wiek by nam upłynął. Mama wie także, że ona ma—dwakroć.

Staruszka niedbale ręką rzuciła, jakby mówiła: po co te pieniądze tobie — i tak masz dosyć!

Henryk nie matce nie mówił o stanie swych interesów, nie chcąc jej zasmucać, nie złemi interesami, ale sobą, który puściznę ojcowską trwonil na karty i wyjazdy za granicę. W domu nie nie brakowało, od czasu do czasu przybywał nawet to jakiś posążek marmurowy, to obraz nieposledniego pędzla, to powóz nowy i wyborowych stad zaprząg. Wszystko to mówiło o nienadwerezonej fortunie, o przyroście bogactw.

Kłęcząc u kolan zniedołęznialej wiekiem i chorobą, rozmawiał z nią długo, rozumiejąc odpowiedzi dawane ruchem głowy i odpowiadając na zapytania jej oczów, aż staruszka ukołysana złotemi rojeniami

o syna przyszłości, usnęła wśród kwiatów woni i śpiewu ptaków.

Henryk powstał z klęczek i polecając czuwanie nad matką ulubionej jej słudze, wrócił do swego gabinetu. Był nieco rozstrojony i nie swój. Przysunął fotel do biurka, wysunął szufladę i zaczął jakieś papiery przepatrywać. Był tam testament ojca, rachunki zaległych rat bankowych i spis weksłów Fabrykowicza i spółki. Pan Henryk wziął ołówek i zaczął coś pisać na kawałku papieru, stawiając długie cyfr szeregi. Później pokręcił głową i za uszy się potargał.

— Żle! — mruknął i westchnął ciężko.

Zbliżył się do otwartego okna i w dal spojrział.

Dom jego stał na wzgórzu. piękny krajobraz szerokiem roztaczał się kołem. Na lewo park angielskiego ogrodu, w dolinie nad srebrną strugą rzeczki wieś w wieńcu drzew, na prawo łąk aksamit, z kądem się rozchodził brzęk kos ostrzonych i śpiewy kosarzy, za nimi ciemniał las dębów stuletnich. Henryk na las patrzył i marzył smutnie. Żał mu było tych drzew olbrzymich kolumny oddawać pod ostrze siekier, pod ich ciemnymi konarami dzieckiem igrał swobodnie, wiązało go z nimi niejedno wspomnienie rozkoszne. Przypomniał sobie słowa ojcowskie z jakimi do niego się był zwrócił, w czasie jedncj po lesie przechadzki:

— Las tobie, Henryku, zostanie, bo Rupert to łobuz i straci wszystko. Ty uczeiwią pracą dopełnisz kapitał, jaki dam tobie i spłacisz nim bratu połowę wartości lasu, bo tego skarbu on cenić nie potrafi.

Ale pamiętaj tylko, Henrysiu, że ten skarb jest zaklęty. Każdorocznie da ci garść złota, ale gdy zechcesz wziąć wszystko od razu, da ci dużo, lecz to na marne pójdzie. Powoli czerpać zeń wolno, źródło darów jego wtedy nie wyschnie.

Henryk przypomniał sobie te słowa i smutniał.

— Dobrze było mówić ojcu — pomyślał — gdy nie miał żadnego Fabrykowicza, ale ja mam nóż na gardle! Po zapłaceniu Rupertowi i innych długów, Fabrykowicz i tak zaspokojony nie zostanie. Gdyby nie dwakroć Julki, las poszedłby cały i fortunę djabli by wzięli. Tak, choć nie będzie lasu, ale ziemię można posagiem Julki oczyścić, ba! nawet i cała setka zostanie.

Uśmiechnął się uspokoiony, uśmiechnął, i *à conto* przyszłego wiana żony, zaczynał sobie w myśli przebudowywać wygodny, ale niewielki i niezbyt elegancki dom ojców. Na odnowionych murach zabłysnęło mu pięterko z misternie zwieszającą się galerijką, lewa strona dzisiejszego dworu przedłużyła się, prawa wystrzeliła wieżyczką o oknach gotyckich i dachem szpiczastym. Ściany bielonych komnat powlokły się paryzkimi tapetami, podłoga ustąpiła miejsca wzorzystej posadzce, a i w nowowzniesionem lewym skrzydle nie wadziłoby w sali balowej dać u góry małą na muzykę galeryę, a choć z lasu nic nie zostanie, na te drobnostki kredyt jeszcze znajdzie; tylko już do Fabrykowicza się nie uda, bo ten zanadto barbarzyńskie procentu bierze. Potem na zapłacenie koniecznych długów posażek Julki wystarczy. I tak— żle! poprzednie, na okrzyk dobrze! się zmieniło.

Weselszy odszedł od okna i zawoławszy starego Joachima, odezwał się:

— Każ Joachimie Jankowi pobiedz na leśniczowstwo i Szłomę zawołać.

Joachim wyszedł, a Henryk na papierze zaczął kreslić plan przyszłego pałacu.

VII.

Parę upłynęło tygodni, na polach zadzwoniły sierpy i jedna i druga kopka na gęstem pokazała się ściernisku. Zabrzmiały pieśni żniwiarzy: plon niesiem, plon!... W pszenicznych wieńcach na głowie przestępywały dziewczki próg starego domu, chyląc się do nóg panu, z życzeniem doczekania żniw nowych, dobrych, z prośbą o gościnę, o parę plastrów miodu i wolność zabawy przed dworem. Pan Henryk przepił do mężczyzn, dziewczętom ust nie żałował, które polnych kwiatów wieńcami otoczyły wózeczek starej pani, dobrej pani. Trochę serca, trochę rozumu, a szale stojące w równowadze obojętnej—na stronę miłości się pochylały...

W lesie pana Henryka coś stukać zaczęło i głucho grzmoty biegły z gęstwiny do parku, przerywane niemilem pił chrapaniem. Zrazu nie zwracała na to uwagi matka Henryka, zajęta całowaniem coraz bujniej rozkwitających kwiatów, ale codzienne stukanie w lesie zwróciło nakoniec uwagę.

Było to w pierwszych dniach Lipca.

Na wózku swoim otoczona miękkim puchem poduszek, drzemiała na słońcu, syn siedział na ganku

i czytał gazety. Przeczytał jedną i drugą, przeczytał ogłoszenia o kilku na targ wystawionych majątkach i o cenach pszenicy, która podnosiła się z dniem każdym. Pan Henryk mimo woli westchnął i rzucił wzrokiem na złoćące się daleko pola i na gęste pasy kóp pszeniczki swojej, wyciągnięte równo, daleko, jak szeregi wojsk wyćwiczonych. Nie pocieszyła go o cenach dobrych wiadomość, pieniądze dawno za te szeregi wzięte zostały, jeszcze nim kłos wysypał, nim pierwsza strzałka puściła. Złożył gazetę i spojrzął na śpiącą matkę. Wpatrzył się w nią jak w tęczę. Spała cicho, spokojnie, marząc—pewnie o nim! I znowu westchnął, a czoło mu dwie bruzdy wielkie zmarszczyły.

Wtem z lasu jakiś grzmot silny doleciał aż echa parku krzykiem ech odwrzasnęły. Staruszka drgnęła i otwierając ociężałe powieki omdlałym ruchem ręki zawołała syna.

Henryk zbliżył się i ukląkł. Matka wskazała ręką w stronę lasu, później dłoń przyłożyła do ucha i patrząc na syna zdawała się go pytać: co to?

— To mamó — bąkał Henryk — kazałem rąbać drzewo na stosy... do kuchni.

Stara patrzyła na syna z lekko ściągniętymi brwiami i ruszając ramiony dawała znaki, jakby mówiła: że źle zrobił, że padające drzewa trawę zgniotą, że ścięte latem nowych pędów nie puszcza. Henryk wyrzut zrozumiał; nachylił się i ucałował dłonie matki.

— Kilkanaście dębów było suchych, trawy mam dosyć, a leśnych kwiatków mamie nie zabraknie.

I z uśmiechem spojrział jej w oczy. Matka także uśmiechem odpowiedziała i ruszyła głową, jakby mówiła: że dobrze zrobił...

— Oprócz tych kilku, mateczko — ciągnął syn dalej — kazałem jeszcze trochę zrząbać na wiązanie i słupy do domu. Bo widzi mama, ja chcę nasz domek przebudować, rozszerzyć, piąterko dodać...

Staruszka się zasmuciła i spojrzała na niego wzrokiem, który mówił: a to na co? a na co? Tyle lat z twoim ojcem mieszkałam i dobrze nam było i przestronnie było.

Henryk pośpieszył z odpowiedzią.

— To mój kaprys, mateczko — niewinny kaprys! Ja wiem, że Julcia by się zgodziła w najlichszej ze mną chatce mieszkać, ale co to szkodzi... jeżeli wystarcza na ten skromniutki zbytek? Zobaczysz, gdy mała wieżyczka w niebo wystrzeli i ja ciebie w tym wózeku na swoich rękach na górę wyniosę, zobaczysz, jaki krajobraz śliczny będziesz miała przed sobą!

Staruszka pomyślała i głową ruszyła, zdawała się mówić: Henryś zawsze ma słuszość! widok z wieżyczki będzie bardzo ładny!

Mówili tak długo, on słowy pieszczotliwemi, ona spojrzaniem i Henryś zawsze miał słuszość!

Na dziedzińcu zadudniało, pan Henryk posłyszał turkot resorowego powozu i eleganckie z bicza klaśnięcie. Podniósł się szybko i szedł na spotkanie drogiego gościa. Nie sercem przeczuł go, znanym mu był ten dźwięk angielskiej stali, to misterne z bicza klaskanie. Powożąc sama w kształt kolebki zbudowanym tulbery, panna Julja podjechała pod ga-

nek, za nią na małym koziółku siedział stangret w wysokim kapeluszu i w liberyi migdałowego koloru. Powozik się zatrzymał, sługa wziął lejce z rąk młodej pani, która uśmiechem podbiegającego Henryka witała.

— Jakiż Bóg dobry sprowadza dziś panią?—odezwał się młodzieniec, podając rękę wysiadającej.

— Zgadnij pan jego imię?

— Amor!

Panna Julja pokazała mu koniuszeczki języczka, Henryk się uśmiechnął i obie ucałował dłonie.

— Czy bardzo jestem panu potrzebna?

— Zawsze bardzo, lecz dziś najbardziej. Mam dużo z panią pomówić o projekcie, który wykonany być musi prędko.

Weszli do sali.

— Co to takiego?

— Mój domek za ciasny i niezbyt strojny. Zrobiłem plan do rozszerzenia go i upiększenia.

— Pokażesz mi pan?

— Chcę właśnie, żebyś go pani widziała. Może każesz co ująć, co dodać... Ale, ale, pocałowałem dopiero tylko rączkę pani!...

— Czy to mało?

— Nie! nie! ja mam już prawo do czegoś więcej...

— To—po ślubie...

— No! będzie i po ślubie a i teraz...

Chwycił w pół kibici dziewczynę, ale panna Julja pierzchnęła i wybiegła.

Lekka jak motyl, który na zielonym dolin ko-biercu wśród kwiecia i tęcz przegania, z rumieńcem

pragnień nieznanych, z uśmiechem przeczuwanych rozkoszy i szczęścia, spłynęła szybko po schodach balkonu, nurzając się w falach kwiatów, poruszonych białą suknią przebiegającej.

— Wiedziałam, gdzie panią szukać — przyklękając koło wózecka matki Henryka i całując jej rękę, mówiła. — Dzień ciepły, zapach kwiatów aż upaja, wiedziałam, że pani wśród kwiatów być musisz...

Staruszka objęła szyję dziewczyny, pocałowała czoło, usta i w źrenice jej z jakimś dziwnym uśmiechem spojrzała. Coś znaczącego w tem spojrzeniu być musiało, bo panna Julja zapłonila się i oczy spuściła...

— Pani już wie, że syn pani — zaczęła nieśmiało.

Nie miała potrzeby dokańczać, bo łzy szczęścia w oczach staruszki, podwojona moc pocałunku, mówiły, że o wszystkim dobrze wiedziała i rada była.

Z ganku schodził Henryk i zdala groził dziewczynie za figiel wypłatany, panna Julja odgroziła paluszkami, aż stara się obejrzała i roześmiała radośnie.

— Już to pani zanadto musiała pieścić swojego syna? rozpuszczony chłopiec i uparty. Ja będę inną, musi mnie słuchać, bo tak zrobię —

Ścisnęła pięstki, jakby pokazywała, że mężowi czuprynę nadweręży.

Staruszka śmiała się, gładząc dłonią złote włosy dziewczyny i dając spojrzeniem znaki synowi, że zgadza się na to.

— Niech się mamcia nie śmieje — zagadał Henryk — kto wie co to po ślubie będzie!

— Czy pan myślisz może ze mną tak zrobić? — zapytała prędko panna Julja, wzrok podnosząc.

— Ale co innego chciałem powiedzieć, mówiłem, że po ślubie, może pani powietrzną groźbę, rzeczywiście zechcesz na mnie spróbować.

Panna Julja powstała. i z całą powagą zbliżając się do niego krokiem żołnierskim dała mu klapsa.

Henryk krzyknął i machnąwszy ręką w powietrzu, do ust ją przyłożył, całując...

— Nie przeprosi mnie, pani? — zapytał po chwili.

— Jest za co! — ruszając ramionami, odpowiedziała narzeczona.

Henryk podbiegł.

— A!!...

Uderzył po wierzchu ręki.

— To za moje!...

— Ratuj mnie pani! — zawołała dziewczyna, przypadając do kolan staruszki, z czego pan Henryk skorzystał i nachylając się ładny karczek dziewczyny pocałował. Panna Julja krzyknęła i odchyliła się gwałtownie od starej, która pytająco spojrzała jej w oczy, strwożona nieco.

— To nic, nic, droga pani! — powiedziała Julja — to komar mnie w szyję ukąsił.

Staruszka spojrzała na Henryka, jakby mu robiła wymówkę, że komara nie zabił.

— A, niegodziwiec! — zawołał Henryk — gdzie on? czy jeszcze siedzi na szyjce pani?

Zbliżył się, pochylając nad klęczącą.

— Panie Henryku!—szepnęła Julia—doprawdy, że gniewać się będę i po ślubie ani razu przez dzień cały nie pocałuję.

— Ale wieczorem — odszepnął Henryk.

Dziewczyna zapłonila się i zacisnęła usteczka, ruszając głową, gniewna niby.

— Pokaż mi pan lepiej plan mających się budować części domu. Pewnie pan narysowałeś jakąś karykaturę niewdzięczną.

— Czy pani umie karykatury wdzięczne rysować?

— Potrafiłabym z pewnością, gdybyś mi tylko pan chciał służyć za model.

Zaśmiano się. Henryk wyjął z kieszeni surduta plan domu i rozłożył na kolanach matki.

— Co to? — zapytała panna Julia wskazując palcem na papier.

— To jadalny pokój.

— A to?

— Buduar mojej żony z balkonem na ogród. Mam zamiar obić go dywanem w perskim guście, i zapelnąć stosownymi meblami, które sprowadzę z Paryża. Lampę ze światłem ukrytem w różowym kielichu umieszczę pośrodku sufitu ozdobionego w arabeski, czy dobrze?

— Prześlicznie! a to co za budka z tyłu domu?

— To, proszę pani, to, tak sobie...

Panna Julia nie dopytywała się, przeszła do innych komnat wewnętrznych, chwając to ganiąc, ale ostatecznie przyznała panu Henrykowi pewne architektoniczne zdolności i trochę smaku estetycznego.

Dzień się już chylił ku wieczorowi, kiedy panna Julja pożegnała mieszkańców Koszłakówki i odprowadzona przez Henryka do pół drogi, pełna rojeń słodkich, zacinając rażno idące konie, odjechała do siebie.

VIII.

Upływały dnie za dniami, miesiąc jeden i drugi przeminał, jesień zaczynała złocić drzew liście lub na kolor czerwony malować. W Koszłakówce nie się prawie nie odmieniło, tylko Morduch schudł nieco, bo pan zajęty budową domu zapomniał o dawnym przyjacielu; tylko las dębowy przerzedniał, pokazując z dniem każdym coraz więcej pniów mokrych i szare stosów szeregi; tylko na wiejskim cmentarzu kilka mogiłek przybyło i w Zahubiny futorze ktoś się obwiesił na Semenowej gruszy. Przeklinali ludzie pamięć pierwszego wisielca, który mimo dobrze ubitej mogiły spokojnie nie mógł leżyć, ale co nocy z niepoświęcanego grobu wychodził i *manił* ludzi. Trudno się oprzeć sile jego, gdy kogo napotkał, do samej gruszy przyprowadzi i mocną gałąź pokaże. Przystanie manić dopiero wtedy, gdy drzewo zetną i miejsce wodą święconą pokropią.

Henryk z gorączkowym pośpiechem budował dom przyszłej żonie, bo choć bratu dług spłacił, chodziły niepokojące wieści, że Fabrykowicz, nie mogąc się doczekać odbioru kapitałów ni procentów, zamierza prawnie o własność się swoją upomnieć. Bez posagu Julji smutnemi barwami rysowała się przyszłość

panicza. Był więc niespokojny i z pośpiechem dom budował, choć za pożyczone pieniądze. Że Henryk stara się o rękę Julji, wiedzieli sąsiedzi, roboty koło domu upewniały ich o dobrym rezultacie konkurów, ale jak daleko te sprawy miłosne zaszyły nikt na pewno powiedzieć nie mógł, bo formalnych zaręczyn nie było, a ani Henryk, ani rodzice panny nie mówili najbliższym nawet krewnym.

— Rozchodzą się i z przed ołtarza — powiadał pan Dżelski — na co paplać przedwcześnie.

I tak tajemnica w małym tylko wiedziana była kółku, z czego panna Julja nie była nierada, bo to wiało jakimś dziwnie romantycznym urokiem, a dziewczęta zawsze lubią tajemnice. Hrabia bywał ciągle, mówił o haczisu i wzdychał, ale panna Julja była zdania, że zimna woda najlepszym jest napojem. Goliński jednak nie zrażał się, tembardziej, że złota ciocia le-dwie nogami włóczyła.

— Co jest ciotce pana? — zapytała go raz panna Julja.

— Zwapnienie serca, łaskawa pani! — odpowiedział z westchnieniem. — Choroba nieuleczona i bardzo prędko droga ciocia moja świat ten pożegnać musi.

— Ale, panie hrabio! — powstając szybko zawołała Julja — pan się martwi daremnie. Niedawno znakomity doktor francuzki pan Ripapôt, na zwapnienie serca wynalazł masę cudowną. Mam gdzieś u siebie ten środek przepisany. Użyj go pan, a ciocia pana sto lat jeszcze żyć będzie.

— Czy doprawdy jest taki środek? — zapytał nieco przestraszony pan hrabia.

— Czytałam o tem w *Revue Medicale*.

— I na co pani to *Revue* czyta? — zapytał z wyrzutem.

— Widzisz pan, żem dobrze zrobiła, mogę teraz przyjść z pomocą w ciężkiem zmartwieniu pana.

— Ażoby cię djabli wzięli! — pomyślał spadkobierca ciotki wołyńskiej. Jeszcze gotowa posłać jej jakiego *fernapiksum* i ona mnie przeżyje. Wolę ja jej sam zawieźć.

— To będę prosił panią o receptę — rzekł głośno.

— A nie! ja ciotce pana sama posłę, znamy się przecie, a ja chcę odwdziżyć się za dawną jej przyjaźń.

I po co mi było mówić — pomyślał hrabia — o tem zwapnieniu serca, a jej *Revue Medicale* czytać? to wszystko są skutki tej głupiej emancypacyi, która takie pisma do rąk dziewczętom brać pozwala.

Panna Julja śmiała się w duchu, a pan hrabia stał się od tej chwili najzawziętym nieprzyjacielem emancypacyi kobiet.

Gdy tak pan Henryk budował, hrabia był zaniepokojony wynalazkiem pana Ripapôt, a Julja o kochanku marzyła, jakaś wieść zaczęła krążyć w okolicy, której źródła nikt nie wiedział, ale ludzie coś wiedzieli i mówili. Kilku sąsiadów przyjechało do Karwówki, jeden coś szepnął Dżelskiemu na ucho ale ten machnął ręką i odezwał się:

— Jeżeliby i tak było to głupi, że się obwiesił. Co tam, panie dobrodzieju, zważać na takie rzeczy, każdy z nas ma swoje *ale*, a takiego bez liku. Żeby

chłop każdy miał podobnie drażliwe nerwy, to nie stałoby drzewa dla wisielców.

Sąsiedzi odjeżdżali, ale wieść coraz większe przybierała rozmiary. Pan Dżelski się nie smucił, tylko z głupiej irytował gadaniny. Julja wiedziała, że jakaś plotka zaczęła krążyć w okolicy, przedmiotem której był Henryk, bo odwiedziny sąsiadów były niezwykle częste i sąsiadki szeptały coś na ucho, wzdychały i sznurowały nabożnie usta, wiele razy o panu Henryku mówić zaczęto. Coś więc było, czego się domyślić nawet nie mogła, pół słówka ją gniewały i jakkolwiek pewną była, że jeżeli coś złe mówiono, to było kłamstwem, męczyła się jednak w sobie, bo wszelka zagadka jest niepokojącą, w pół rozwiązana męczącą. Wiedziała, że Henryk miał trochę długów; że musiał las sprzedać dla zaspokojenia brata, ale się on z tem nie krył, a żadnej tajemnicy przed nią mieć nie powinien. Kilka razy na tydzień przyjeżdżał do niej, zawsze spokojny i wesoły i ona odwiedzała go często i widziała miłość jego dla matki, czuła nad nią opiekę z zaparciem się nieraz siebie. O, języki ludzkie! myślała—wy gorzej niż miecz raniacie!... Ale cóż mi powiedziano? nie!... Tem gorsza męka, że ranią, nie mówiąc nie!...

I otwierała medalion złoty, który nieodstępnie na swojej nosiła szyi, patrzyła długo na talizman jakiś w nim ukryty, przybliżała do ust i całowała...

— Zazdroszczą tobie — mówiła do talizmana — zazdroszczą wszystkiego! i rozumu i serca i tych oczów pogodnych i ust tych, co nie skłamały nigdy. Jabym umarła, żebym na tobie brud jaki znalazła, jabym umarła!

I lzy jej z oczów płynęły i znowu całowała talizman drogi.

Dzień był ciepły, pogodny, białe obłoki jak puchy łabędzie wisiały nieruchome pod błękitną niebios kopułą, znać jesień o wiosnie zamarzyła i odetchnęła jej technieniem ciepłem. Był to ostatni pocałunek miłosny przez słońce ziemi dany.

Julja chodziła w ogrodowej lip alei, oddana marzeniom przedślubnym, rojeniom nowego życia, które jej w tęczowych przedstawiało się barwach. Zajęta tak myślami, nie słyszała jak ktoś zajechał przed ganek.

— Czy państwo w domu? — zapytała, wysiadając z sześciokonnej karety, niewiasta lat podeszłych ożywych ruchach i oczach małych lecz błyszczących.

— Pan z panią pojechali do Włodarowa — odpowiedział kamerdyner — ale panna jest, do usług jasnej pani!

— To dobrze, a gdzie jest, u siebie?

— Wyszła do ogrodu, do usług jasnej pani!

— To lepiej! każ wyprządz konie i moje matki z karety pozabierać. Ostrożnie tylko z butelką, która jest w siedzeniu, bo to jest eliksir od migreny. Albo nie! daj, wezmę sama, bo na wasze niedźwiedzie łapy spuszczać się nie można.

Kamerdyner wyjął butelkę, którą przybyła wzięła do rąk i weszła do pałacu.

— Franciszku! — zawołała obracając się — każ mi zaraz nastawić samowar, bo przeziębłam trochę, i powiedziawszy prawdę, nieco głodna jestem — i dać dużo śmietanki. U was bardzo dobra śmietanka. A wiele się teraz u was krów doi?

— Czterdzieści trzy, do usług jasnej pani!

— To nie źle! musisz mieć świeże masło, każ dać masło do herbaty, tylko dużo!...

Kamerdyner się skłonił i wyszedł, gość znalazłszy wygodne miejsce w salonie dla swego eliksiru, pośpieszył do ogrodu.

Właśnie Julja wracała do domu lipową aleją, gdy naprzeciw niej pokazała się przybyła i choć znaczna ją oddalała od idącej przestrzeń, mówiła już coś, szybko gestykulując.

Była to znana nam ciocia Repetałska.

Julja podeszła do ciotki Joanny i pocałowała w rękę.

— *Bon jour mon amie!* jakże się masz—*bien?* głowa boli, nie? a serduszko nic nie gada?...

— *Bon jour ma bonne tante!*—odpowiedziała Julja. Na ból głowy nie cierpiałam nigdy i serce ma się dobrze.

Ciocia Joanna spojrzała w twarz siostrzenicy jakos dziwnie i westchnęła.

— Przejdźmy się po ogrodzie, *chère Julie*. Nie wiele już będziemy mieli dni tak pięknych i tak przy-
mrozki nocne ochładzają powietrze i warzą kwiaty przedwcześnie. *Pauvres fleurs!*—szepnęła—*elles vivent sans se douler même quel orage les menace!*...

Westchnęła i obejmując czoło Julji ucałowała mocno.

Serce biednej dziewczyny w piersiach zastukało przeczuwała, że wizyta ciotki miała cel inny niż proste odwiedziny. Czowała, że stoi u progu, za którego zasłona ukrywa się tajemnica nieznośna. Chciała ją zerwać odrazu, pytając śmiało tej, która nigdy żadne-

go sekretu utrzymać nie mogła, co wiesz? Ale w chwili postanowienia strach ją ogarnął, a może tam zabójczy kryje się cios? Nie! nie! jeszcze chwilkę życia i marzeń! Będiesz, grocie! jeżeliś śmiertelny, dosyć do uderzenia miał czasu. Brwi jej ściągnęły się, pierś niespokojnie falowała i lica płonęły.

Nie! — mówiła w duchu — tam niema nic coby mnie zabić mogło! Ja mam pewność przeczucia, że wszystko jest fałszem, obawiać się nie mam czego, spytam!..

I zwracała się twarzą do ciotki, ale serce znów mocno stuknęło i pytać nie śmiała.

— Rodzice pojechali, a ty zostałaś sama jak puszczyk, Julciu — zaczęła pani Joanna.

— Tak ciociu — odpowiedziała dziewczyna.

— I o czem marzyłaś, zostawszy samą. Ja bardzo jestem ciekawa wiedzieć młodych panien marzenia?

— O... o wszystkim i o niczem, marzenia były bardzo zwyczajne, powszednie...

— *Tant mieu!* rozmarzać się nie warto, rzeczywistość później przykrzejszą się wydaje. Czy nawiedzał was który z sąsiadów?..

— Dosyć często, szczególnie w ostatnim tygodniu mieliśmy prawie ciągłych gości.

— I o czem mówili?

— Nie wiem! Panowie jak zwykle zasiadali do kart, a panie szeptały...

— Szeptały! — powtórzyła ciocia.

Widoczna w niej wrzała walka, język odmawiał posłuszeństwa rozsądkowi.

Doszły do altanki, zwieszającej się nad przepaścią skał fantastycznych, porosłych winem dzikiem i chmielu gałązkami. Biała galeryjka obiegała ją w okóło, łącząc z sobą słupki podtrzymujące dach w kształt liljowego kielicha wygięty, na szczycie którego sterczał półksiężyc, wznosząc rogi ku niebu. Kragły daszek był wsparty na belkach misternie rzeźbionych, malowanych we wzorzyste desenie. Była to niby pagoda indyjska z półksiężycem tureckim.

— Ach! jaki widok pyszny! — wołała pani Joanna, siadając na ławce pod daszkiem altanki i patrząc na srebrzącą się strugę rzeki u spodu — jak te skały malowniczo zwieszają się ku wodzie; jak odbijają się pięknie te grupy drzew, świecące liśmi złotymi, przetykanemi hańtem czerwieni! Szkoda tylko, że na tej ziemi to wszystko, co piękne ma trwałość bańki z mydła wydętej, większa szkoda, że wszystkie barwy i tęczę nie mają rzetelnej wartości, będąc tylko kombinacją światła, uludną grą promieni, fałszem, łudzącym zmysły nasze, a w życiu i serca nasze...

Kiwnęła głową parę razy i znów z czułością ucałowała Julję.

— Czy dawno był u ciebie pan Henryk? — spytała nagle.

— Parę — dni — temu, ... — ledwieszepem odpowiedziała dziewczyna.

Widziała już poruszenie zasłony, widziała rękę, ujmującą sznur do pociągnięcia. Chciała, żeby już się prędzej podniosła do góry i bała się widoku, jaki by się jej oczom przedstawił.

— Parę dni temu—powtórzyła ciotka—i jakże... tam?

Zdawało się, że umyślnie urwała, chcąc być pytana, żeby nieproszona z niemilą wieścią nie stawać.

— Co ciociu? — lekko drżącym głosem spytała Julja.

— A—nic! *On dit*, że, ale ty musisz wiedzieć, że pan Henryk w interesach majątkowych źle stoi?...

Dziewczyńnię kamień spadł z serca, uśmiechnęła się i rzekła:

— Pan Henryk o tem sam mi mówił. Brat nalegał, żeby mu wypłacił należność, musiał więc las sprzedać, by mózdz zaspokoić niecierpliwego brata. Wiem wszystko!

— Wiesz wszystko? — podnosząc nagle głowę, zawołała ciotka Joanna.

Julce znowu serce stuknęło.

— Czy jest co więcej? — spytała.

— Nie, nie! Rozmaite chodą wieści, ludzie gadają.. ale ty nic nie wiesz i lepiej, że nie wiesz. Lepiej mieć oczy zamknięte i nie widzieć tego, co nas zasmucić może i spać spokojnie nie da...

— Moja ciociu! — podnosząc się z ławeczki odpowiedziała Julja. — Czy choć te słowa powiedziane przez ciocię, mogą pozwolić mi spać spokojnie?

— *Je ne dirais plus rien*, bo doprawdy, to ciebie trwoczy. Gadajmy o czem innem.

Julja podeszła do ciotki i za obie ujęła ją ręce.

— Nie! tak dłużej zostać nie może, chcę wiedzieć wszystko i muszę wiedzieć! Ty, droga ciociu, mężczyźcie mnie nie zechcesz i powiesz, co tam za plotka krąży, która pana Henryka... ty wiesz, że on mi nie jest obojętnym, może z dobrej sławy odziera?..!

Ciotka Joanna rada była, że nakoniec mogła wygadać się szeroko. Przygarnęła do siebie Julję, ucałowała w oba policzki i sadzając koło siebie, zaczęła:

— Usiądź tutaj, a nie trwóż się tylko bardzo. Plotka nie plotka, wiem z najpewniejszego źródła, ale tego, który mnie mówił wydać nie mogę. Lecz... doprawdy, moja droga Juleczko, może lepiej nie mówić?..

— Ciociu! — patrząc na nią błagalnie, odezwała się Julja — i choć serce jej szeptało, że może lepiej nie mówić, była już przygotowana na wszystko. Usiadła naprzeciw ciotki, przyciskając ręką serce bijące..

— *Il a une amourette* — zaczęła ciocia — lepiej byłoby powiedzieć *il avait une amourette*.

Pannie Julji w główce zaszumiało i tchu zabrakło.

— *Ou l'a t-il trouvé?* — szepnęła.

— *Dans son village ah! c'était une paysanne* — lecz nie w tem rzecz. Była to włościanka, którą mąż kochał serdecznie—*c'est drôle!*.... chłop kochający!.. ale tak było. Pan Henryk do owej Warki przysiadł się, robił obietnice, ale kobieta była szlachetnie upartą. Nareszcie spotkał ją w lesie, gdy rwała poziomki, kobieta uległa, ale wstyd ją palił, miała dziecię i męża, który ją kochał. Wróciła do chaty, mąż pytał

o poziomki, co w lesie zostały. Wyznała wszystko, a on w Zahubiny m futorce powiesił się.

Panna Julja słuchała słów tych z jakimś kamiennym milczeniem, coś się jej w mózgu plątało i rozbudziło w pamięci obraz jeden, który ją dławił. Ale nie! to fałszem być musi, to wszystko bajka zmyślona dla dręczenia biednego jej serca. Obrzydliwi ludzie! tam nie ma prawdy—nie ma! Świat wymarzony miłości i szczęścia mglistą okrywał się zasłoną, ostatniem technieniem swych piersi rozpędzała mgły szare, chcąc jeden, czysty promień słońca zatrzymać...

— I kiedy to ciciu miało być, kiedy? — spytała, a policzki jej płonęły ogniem i ręce drżały.

— Było to, zaraz!... Tracewicz mi mówił, aha! spotkał ją w lesie przy poziomkach.... było to, trzy miesiące właśnie temu, w dzień balu u was.

Panna Julja podniosła się gwałtownie z siedzenia, czerwona, jakby ją krew zalać miała, usta drżały dreszczem febrycznym, oczy paliły się gniewem strasznym.

— Kłamstwo bezczelne! — krzyknęła — nie wiedzieli co powiedzieć i spletli bajkę ohydną. Ten człowiek, co tobie ciotko mówił o tem—jest podły! Pan Henryk będzie wiedział o wszystkim i krwią mu każe zmyć potwarz...

— Przecie ty mu nie powiesz?!—zawołała przestraszona o swojego Tracewicza ciotka.

— A kto ma więcej prawa mu to powiedzieć, jeżeli nie ja? kto go osłaniać powinien, jeżeli nie ja? Tak! ja mu powiem wszystko i spytam o wszystko! Będzie wiedział dziś jeszcze... za godzinę jeszcze! Poczekaj na mnie tu, ciotko, ja jadę!..

I drżąca, tłumiąc jęk i łzy, cisnąc dłonią czoło płonące, wybiegła z altany, idąc krokiem nierównym do pałacu. Daremnie ją ciotka chciała głośnym wołaniem zawrócić, daremno biegła za nią, dziewczyna znikła w ciemnych zakrętach alei. Wbiegła do swego pokoju i pociągnawszy za sznur jedwabny, co wisiał u ściany

— Konia! — zawołała do wchodzącego sługi — tylko natychmiast!...

Slużący wyszedł z poleceniem młodej pani. Julja zbliżyła się do gotowalni. Nagle krzyk — ach! wyrwał się z jej piersi i padła na fotel, łkając głośno. Zasłoniła oczy drobnymi dłońmi, ale łzy były duże i ciężkie, przeciskały się przez palce i na białą sukienkę padały.

— Nie! nie! — robiąc rozpaczliwy ruch głową, szeptała.—Po pocałunku grzechu, dotknąć ust moich, mówić, że trzy kwadranse oczekiwania, trzema wiekami mu były, tak kłamać bezczelnie!... i dać mi poziomki stłuczone w walce ohydnej...

Drgnęła jakby gad zimny przez jej ciało przesliznął się.

— Nie! nie! na to potrzeba być więcej...

Zerwała się z siedzenia.

— Nieprawda! — krzyknęła.

I chwytając medalion złoty, zawieszony na swojej szyi, ścisnęła go konwulsyjuie.

— Nie mogłabym cię nosić tu, tak długo, nie czując nic! Wąż jeżeli nie kąsa to pierścieniem obwija i dusi. A ty...

Otworzyła medalion.

— A ty!.. laleś tylko czar w moje serce, rozkoszą poileś!.. Gdy zapomniałam włożyć ciebie na pierś swoją, źle mi było, gdy do snu się kładąc, nie powiedziałam ci dobranoc! spokojnie spać nie mogłam... Nie, nie, nie...

Przycisnęła do ust dar kochanka, płacząc cicho.

Przed gankiem koń zarżał.

Julja odetchnęła głęboko i zbliżyła się do gotowalni. Wzięła kapelusz słomiany i amazonkę błękitną i wyszła, dosiadając niecierpliwego rumaka...

— *Julie! Julie!* — wołała ciocia Joanna, za wyjeżdżającą pełnym galopem z bramy dziedzińca dziewczyną!—Oszalała, biedny Tracewicz!.. on nigdy w życiu fuzyi w rękę nie trzymał.

Wbiegła do kredensu.

— Franciszku! — krzyknęła — każ konie mi za-przebrać, zaraz, zaraz tylko!..

— Herbata już na stole, do usług jasnej pani — odpowiedział kamerdyner..

— A, herbata! Napiję się i jadę, każ niech konie gotowe będą..

Udała się do jadalnej sali z mocnem postanowieniem ostrzeżenia przed niechybnym pojedyńkiem swego Tracewicza, który—o ile wiem, za dni kilka był już w Berlinie.

IX.

Czerwone słońce zbliżało się do zachodu, wiatr niósł tumany kurzu, koń Julji naglony do biegu, jak ptak leciał, grzmiąc kopytami. Julji zdawało się, że

biegł pomalu—hop! hop! wołała co chwila, uderzając trzeciną dobywającego ostatnich sił rumaka. Szalona jazda ją odurziała, lżej jej było, chciała tak lecieć i lecieć bez końca i runąć w głąb' bezdenną, w otchłań nicości. Nagle koń zaczął zwalniać biegu. Przesuwał się ostrożnie między pniami drzew Zahubinego futuru. Wiatr szeleścił zeszlęmi liśćmi i stukał w gałęzie! Julja ściągnęła cugle i obejrzała się w około jakby szukała czegoś.

W dali pod gruszą czerniała mogiła Semenowa. Julja zwróciła konia i podjechała do niej.

Z założonemi na krzyż rękami, smutna jak myśl szukająca Boga, patrzyła na grób milezący. Jej usta drżały modlitwą czy zapytaniem.

— Grobie cichy! — szeptała — wydaj głos z głębi swojej, głos protestu!..

Grób odpowiedział jękiem jakimś głuchym, dalekim.

Julja zadrżała -- nie! grób milczał, jęk z innej biegł strony.

W gęstwinie lasu pokazała się postać niewieścia z kwilącym dzieckiem w ramionach. Szła ścieżką udeptaną, która się kończyła u mogiły. Krok jej był niepewny, z pod chusty, związanej na głowie, włos się wił czarny, tuliła dziecko, mówiąc coś do niego.

Julja zwróciła się w stronę głosu, patrząc na postać wynędzniałej wieśniaczki, której twarz była jak płótno, ale zachowała niedawne jeszcze ślady piękności; której oczy zapadłe świeciły mętnym blaskiem lekkiego obłąkania.

— Cyt'! cyt'! Sołowejko—kołysząc w ramionach mówiła do kwilącej dzieciny — cyt'! cyt'!.. będziesz

miał jeszcze dosyć czasu na łyzy. Wyrośniesz, duży wyrośniesz i przez łąki i pola przybiegniesz tutaj, do tej wisielca mogiły, bawiac się siądziesz na niej, i strach cię zdejmie. Kto tutaj leży? zapytasz — ja powiem kto. Dla czego on leży tutaj? matka skłamię, ale ci ludzie powiedzą. Powiedzą ci o poziomkach rwanych w lesie, o plamie czerwonej na moim białym fartuchu. I chwycisz ty matkę za włosy już wtedy siwe i ciągnąć będziesz po ziemi, w twarz bijąc. Teraz śpij cicho, kociątko! Cyt! cyt! Solowejko, cyt! cyt!...

Tak przemawiała kobieta do płaczącego dziecka, do grobu się zbliżając.

Julja siedząc na koniu patrzyła na idącą, to na mogiłę, jakby mówiła:

— Grobie cichy! jaką odpowiedź mi dajesz?...

Wieśniaczka podeszła do siedzącej pani na koniu i zatrzymała się przed nią, w twarz jej patrząc. Julja zwróciła się do niej.

— Warko! — szepnęła głosem cichym.

Warka spojrziała w bladą twarz pytającej.

— Znasz mnie? — spytała.

— Znam, choć wolalabym nie znać ciebie.

— Co chcesz odemnie?...

Julja wahała się rzucić pytania, pierś jej podnosiła się ruchem szybkim, zdawała się blednąć i chwiać.

— Czy to prawda? — zaczęła.

I drżące usta nie pozwoliły słowom wybiedz, ale zapanowała nad sobą i, połknawszy łyzy wszystkie, spytała głosem pewnym, w którym przebijała się jakaś odwaga rozpaczna.

— Czy to prawda .. że pan wasz... pan Henryk... uwiódł ciebie?

Wzrok pytanej zajaśniał ogniem wściekłego gniewu, zęby w szczękach stuknęły i podnosząc dłoń do góry:

— Żeby dusza jego przykutą do tego grobu była wiecznie! — krzyknęła...

Julja wstrząsała się, ale jeszcze wierzyć nie chciała. Nieszczęściu najtrudniej dać wiarę...

— Warko! czy na pytanie mi nie odpowiesz?

— A tobie co do tego?...

— Mów prawdę! — jęknęła Julja.

— Cha! cha! — zaczęła śmiać się Warka. Ty nie wiesz, ale ja wiem, bom z za drzewa patrzyła na niego i na ciebie i widziałam jak z konia zeskoczył i dał ci jagody, które ja rwałam, i ciebie całował jak i mnie przed tem, i ciebie objął jak i mnie! Czy słodkie, panienko, były usta panicza po pocałunku chłopki? czy smakowały ci poziomki, które ja swojemi plecami zgmiotłam?...

— Dosyć! — zawołała Julja, nie mogąc znieść obrazu, który jej się w mózgu rysował. Bezwiednie usta potarła, krzywiąc się jakby żółć wypila...

— Hop! — krzyknęła na konia.

Koń spał się, chrapnął i ruszył pędem szalonym.

Wracała do ciotki Joanny, która sześciokonną karetą w przeciwną pomykała stronę.

Słońce jeszcze wisiało nad nią, wiatr zimny powiał z północy. Julję szal ogarnął. Puściła z rąk cugle i obiema dłońmi ujęła czoło rozpalone; z p o

stawą w tył nieco podaną, z oczyma przymkniętymi, lcciała. Rumak sadsził naprzód, jakby za nim stado wilków gnało, nagle ogromny słup pyłu wzbił się w górę, jakiś krzyk krótki zabrzmiał... koń splątał się i padł.

X.

W domu pana Henryka było cicho i spokojnie. Robotnicy pracujący koło gotyckich łuków wieżyczki odpoczywali pogrążeni w śnie błogosławionych, na dziedzińcu żadnego nie było widać ruchu, nawet Morduch siedział koło swej budy nieruchomy i smutny, filozoficzną jakąś myślą zajęty i wzdychał ciężko. Doprawdy! źle mu musiało być teraz na świecie. Zapomniany schódł i zmizerniał do niepoznania, bujne kudły miejscami wylazły, ogon się więcej rozstrzępił i w ruchach dawnej wesołości i swobody nie było. Łaska pańska na pstrym pojechała koniu.

Podobna cisza i spokój panowały i wewnątrz odbudowywującego się domu. Była to chwila poobiedniego odpoczynku, stara pani drzemiała u siebie w pokoju, Henryk, zanurzony w głębokim fotelu, znajdował się w stanie bezmyślności jakiejś, z ust tylko gorzko skrzywionych można było sądzić, że jeżeli myślał—to przedmiot marzeń nie ponętnymi świecił barwami. Westchnął, potarł czoło i wstawszy z siedzenia wyszedł na ganek.

Jak sumienie dręczące widmami zbrodniarza, przed okiem pana Henryka stała pusta przestrzeń asu, świecąca nagimi pniami i armią stosów. W da-

li jeszcze czerniała ściana nietknięta, ale i tam dzwoniły siekiery i co chwila rozchodził się łomot drzew walonych. W każdym grzmocie padającego dębu słyszał jęk jakiś, niby skarga, niby wyrzutu głos. Pana Henryka ten obraz marnotrawnego niszczenia męczył i pogrążał w apatyę. Nie zajrzał ani razu do lasu, zostawiając wszystko sumieniu pana Serafina Iwrońskiego, który sam liczył stopy, piętnował i ubolewał przed panem, że mniej ich było, niż się na oko zdawało. Las strasznie pana Henryka oszukał. Myślał, że jego połowę zapłaci dług brata i reszta nietknięta zostanie, ale pokazało się inaczej: hudił oko ilością stosów, na kontrakcie Szłomy Lizuna małą prezentował się liczbą. Zrazu pan Henryk chwycił się za włosy i Serafina chciał przepędzić, posądzając o oszukaństwo, a sam być obecnym przy liczeniu i wywozie, ale go prędko jakaś apatya owładła, błogosławionej myśli odstąpił i powiedziawszy w duchu: niech djabli wszystko biorą! zaciągał dług nowy na zapłacenie robotnika koło domu, marząc, że skoro otrzyma posag Julii, kredytorom zapłaci wszystko i sam stateczniej żyć zacznie.

— Jakoś to będzie! — powtarzał — byle pręcej dom skończyć i żonę sprowadzić.

O! ta żona była dla niego deską zbawienia, bez niej czekała go nędza i ruina. Ale pan Henryk o tem nie myślał i jeżeli nie różowo to choć popielato z odblaskiem różowym przyszłość mu się przedstawiała.

Pochodziwszy, posmuciwszy się, ale w końcu przywoławszy myśl dobrą, wyszedł z ganku, kierując się do gabinetu. Ale zaledwie stanął w drzwiach swego pokoju, czoło mu się zmarszczyło i lekka bla-

dość twarz powlekła, która prędko ustąpiła miejsca rumieńcowi gniewu.

Na kanapie pod oknem siedziała figura wzrostu małego, otyła mocno, wygolona i na pół łyśa, lat pięćdziesięciu, w europejskim stroju, z bankierskim łańcuszkiem u zegarka, z wyrazem twarzy zdradzającym semickie pochodzenie. Na wejście Henryka nie podniosła się wcale, tylko wydeła policzki dziwnie impertynencko. Henryk zatrzymał się w progu i gniewnem okiem zmierzył przybysza od stóp do głowy. Figura skrzywiła usta i zagadła.

— Czego pan na mnie tak srogo patrzy?

Henrykowi zęby szczęknęły.

— Panie Fabrykowicz! — odezwał się — można było wstać i uklonąć się.

Fabrykowicz zakolysał się na kanapie.

— Ja nie przyjechałem kłaniać się, a tylko o swój dług i procenta się upominać. Trzy termina minęły, ja czwartego czekać nie będę.

Pan Henryk zapomniał o wyrządzonej sobie impertynencyi, miał przed sobą wroga strasznego, którego nie gniewać, lecz łagodzić potrzebował. Zbliżył się do biurka i siadając na fotelu, odezwał się:

— O dług swój pan możesz być spokojny.

— Jakto spokojny? Procent bankowi nie zapłacony, las wziął Szloma, wziął tak, że ja tego nie widział, a pan nowe długie na budowanie domu robi.

Pan Henryk się oburzył.

— To panu nic do tego! — rzekł głośno. Ubezpieczyłeś się pan dobrze niemiłosiernemi procentami i weksłami podwójnemi.

— A co mi z tych procentów, jeśli ja ich nie widzę? co mi po wekslach podwójnych, jeżeli nie będzie z czego wzięść?... Wszyscy gadają, że pan już bankrut!...

Henryk podniósł się z siedzenia.

— Nie płacę — zawołał — to możesz pan mnie pozwać, ale gadać impertynencyi nie pozwolę. Fortuna moja jeszcze wystarczy na zapłacenie pańskiego długu.

Wysunął szufladę i zaczął bezmyślnie w niej przewracać papiery. Fabrykowiec pokręcił głową.

— Dowiem ja się prędko, czy wystarczy. Ja słyszałem, że pan nowe meble z zagranicy sprowadził i nowe konie i powozy kupił. Te graty nie pokryją procentów od procentów...

Pan Henryk zęby zacisnął i hamując gniew zwrócił się do mówiącego.

— Panie Fabrykowiec! daję panu słowo uczciwości, że do trzech miesięcy wszystko zapłacę. Wstrzymaj się jeszcze chwilę, na co się mamy kłócić, lepiej skończyć zgodnie. Słowo honoru, zapłacę do trzech miesięcy.

— Ja już zapomniałem — odburknął Fabrykowiec—co to znaczy słowo honoru. To jakiś tandet, którego każdy ma na zbyciu.

Henryk poczerwieniał i zacisnął pięście konwulsyjnie, ale zapanował nad sobą. Wyjął rewolwer i zaczął mu się przypatrywać, później dmuchnął w lufę i bębnek obrócił parę razy. Potrzebował na cokolwiek bądź zwrócić uwagę i udawać, że dobrze nie słyszy.

— Panie Fabrykowicz!—rzekł kładąc rewolwer na stole—niech pan będzie cierpliwy, wkrótce uiszcę się z długu zupełnie.

— A zkąd pan wezmiesz pieniądze? — zapytał wierzyciel.

— Przecie pan musiałeś słyszeć, że się... zenię...

— Ehe! to pan zoinemi pieniędzmi chcesz mi zapłacić!... a jak się pan nie ożeni?

— Czekasz pan czy nie?! — zawołał zniecierpliwiony Henryk.

— Czego pan krzyczy? czy ja się pańskiego krzyku boję? czy to ja napad jaki robię, czy co?...

Henryk zrobił krok naprzód.

— Nie wyprowadzaj mnie pan z cierpliwości, zdaje się byłem grzeczny, kiedy nie kazałem panu nawet siebie powitać. Odpowiadaj pan na zapytanie: czekasz — nie?

— Nie — zabrzmiała odpowiedź krótko.

Pan Henryk zapienił się.

— Raz ostatni proszę pana.

— Pan mnie już sto razy prosił, a za każdym razem mówik: raz ostatni.

Zaśmiał się.

Henryk zbliżył się do Fabrykowicza, drżąc cały, Fabrykowicz podniósł się i ujął czapkę.

— Jeżeli pan przyjechałeś gadać mi niedorzeczności, to drzwi stoją otworem; jeżeli traktować o interesie, to słucham cierpliwie.

— Co to traktować! — zawołał Fabrykowicz — albo pan mi zaraz płac pieniądze, albo ja pana pozwę, czekać nie będę. Płacisz pan czy nie?

— Teraz nie mam... ale mówiłem panu...

— Ja to słyszałem już razy dwieście. Nie ma i ja wiem, że nie będzie, a jak mnie dłużej czekać się przyjdzie, to tyle innych długów narosnie, że moich i widać nie będzie.

— Dawałem panu słowo honoru, że za trzy miesiące niezawodnie...

— Aj aj! ja już na pamięć umiem to wszystko, co pan ma powiedzieć.

— Panie Fabrykowicz! — zawołał Henryk.

— Czego pan krzyczy? czy mnie nie można o swoje pieniądze się upominać, kiedy wszyscy gadają, że pan resztkami goni i łapi tylko pannę bogatą, żeby swoje dziury latać.

Nic tak nie kole, jak prawda wypowiedziana w oczy; Pan Henryk zakipiał i mimo woli chwycił rewolwer do ręki.

— Będziesz milczeć?! — wrzasnął.

Fabrykowicz na widok broni w ręku szaleńca ku drzwiom się rzucił.

— Na co pan o to trzyma? czy jeszcze pan chce i rozbójnikiem zostać?

Pan Henryk zadrżał, konwulsyjnie ściśnięte palce dotknęły kurka rewolweru, grzmot rozległ się i Fabrykowicz z krzykiem runął na ziemię.

Nastąpiła chwila ciszy, pan Henryk pobladł śmiertelnie i broń opuszczając, zbliżył się do ofiary.

— Fabrykowicz!—odezwał się głosem drżącym, czy żyjesz?

— Zdaje się—odpowiedział zapytany— bo mnie się serce bardzo trzęsie.

Pan Henryk spojrział na drzwi. Fabrykowiec w czas się usunął, kula przeszła na wylot. Powoli podniósł się z ziemi i chwytając za klamkę, zawołał:

— Żyję! ale mnie pan popamiętasz! Na uczciwą torbę grosza jednego nie zostawię.

To mówiąc wybiegł z pokoju. Gwałtowne szczykanie Morducha, oddalające się szybko, wskazywały przyspieszony bieg umykającego.

W przeciwnych drzwiach gabinetu stanął stary Joachim, dawny sługa ojca Henryka.

— A co to? czy pan wróble strzela w pokoju? — odezwał się...

I pokręcił głową.

— Wypadkiem wystrzelił rewolwer — odpowiedział Henryk — czy pani nie obudziła się ze snu?

— Śpi mocno — odrzekł Joachim — ale ja przyniosłem list do pana.

— Zkąd?

— A zkąd jeżeli nie z Karwówki? Pewnie panna Julja pisze i panu jakiś prezent przesyła w liście.

Oddał pismo i wyszedł.

Henryk z gorączkowym pośpiechem rozerwał kopertę, list dobył, z którego złoty pierścień wyleciał, błysnął w powietrzu i potoczył się daleko...

Pan Henryk list przebiegł oczyma.

— A! jęknął głucho, upuszczając z dłoni różową kartkę papieru.

Bładość okropna twarz mu powlokła, ręce opadły i chowając twarz w dłoniach rzucił się na fotel.

Jakieś łkanie mu pierś dławiło choć oczy były suche.

List był krótki, zawierał te słowa:

„Pocałunku wziętego ode mnie pan mi zwrócić nie możesz, ale ja mogę jeszcze oddać pierścień pański. Dla czego to czynię? niech ci powie w Zahubinym futorze mogiła—i sumienie.“

Julja.

Ostatnie blaski zachodzącego słońca wbiegły krwawym promieniem przez okno, wiatr miotał zwiedłomi liśćmi i w szklanne szyby uderzał.

Henryk długo zostawał w jakimś straszmem milezeniu, kryjąc twarz w dłoniach. Nareszcie poruszył się i powstał blady i drżący jakby po długiej niemocy. Zdjął pierścień z palca, przez Julję dany mu w czasie balu, włożył do koperty i położywszy na niej adres, na Joachima zawołał.

— Posłańcowi! — rzekł krótko i szybko się odwrócił.

Joachim wyszedł, Henryk z załamanemi rękami do okna podszedł.

— Ostatnia scena aktu piątego zbliża się — szeptał — zakończy się zjawiskiem widma straszego, któremu na imię: ruina!

Jęk czy łkanie wybiegło mu z piersi.

— Matko moja! matko! — jęczał w duchu — czem ja ciebie od jej widoku osłonię? jaką odpowiedź dam tobie, gdy mnie wzrokiem zapytasz: synu — co to?

Odszedł od okna niemy boleścią straszną i krokiem chwiejnym skierował się do pokoju matki. Szedł

cicho, żeby śpiącej nie zbudzić, odsunął lekko kotarę i zatrzymał się w drzwiach sypialnego pokoju starszki.

Słońce jasnym snopem promieni oblewało białe ściany sypialni pełnej kwiatów i woni. Różowe światło drżało w powietrzu, odbijając się tarczą złotą w szklanym obrazie Panny Częstochowskiej, zawieszanej nad łóżkiem. Pośrodku pokoju, w zwykłym wózekku swoim, z głową na pierś pochyloną spała cicho matka Henryka. Białe włosy, wymykając się z pod czepka, srebrzyły się w promieniach słońca, otaczając twarz jej bladą niby świetlanym aureoli blaskiem.

Henryk wsparty o oddrzwia patrzył na śpiącą, i władzą pamięci leciał w przeszłości świat miniony. Szumy drzew zagadały do niego głosami wspomnień dawnych i ten obraz Matki Najświętszej powiał jakimś technieniem chwil wiosennych, pierwszych chwil zaczynającego życia. Tu, w tym pokoju wsparty o matki kolana uczył się słów pacierza; tu wśród tych ścian rozchodził się poważny głos jego ojca, opowiadającego mu o dniach swojej młodości, spędzonej przy obozowem ognisku, snując mary promienne, ziszczenie których młodemu przekazywał pokoleniu. I mówił mu o jednej wielkiej miłości, której powinien całe serce oddać i życie całe poświęcić. Rozbudzona pamięć odzywała się coraz silniej dzwonami wspomnień wszystkich. świat dawny zmartwych się dźwigał i stał przed nim widomie. Ach! jakie myśli przebiegały wówczas przez głowę dziecka, jakie promienie zapalne strzelały z oczów, a skrzydła u ramion rosły!

Przypominał chwile w czasie długich wieczorów zimowych, kiedy mu matka czytała z książki nieśmiertelne pieśni Adama. Tyle ich umiał na pamięć i dziś jeszcze pamiętał. Pamięta westchnienie każde, każdą łzę, każde konwulsyjne ściśnięcie dłoni matlkich, każdy okrzyk, przekleństwo każde i drgnienie serca najmniejsze, które nie mogło pomieścić bóleści i rozkoszy tyle, i wybiegał do ogrodu i rzucał się pierśią na ziemię, całując ją i wołając: kochać cię będę do ostatniego blasku mych oczów, do mej piersi tehu ostatniego!... Dziś, stojąc w drzwiach sypialni matki, powtarzał zapamiętane słowo każde Adamowych piosenek, niewymowną rozkosz w ich dźwiękach czując. Nagle zbladł okropnie i zachwiał się, zaczął wiersz jeden od słów:

O Matko Polko! źle się twój syn bawi..

zaczął i nie mógł dokończyć i przedza marzeń prysnęła.

Co było w wierszu tym? jaki wąż w serce go ukąsił?

O Matko Polko! źle się twój syn bawi, brzmiało mu w duszy jakimś oskarżeniem okropnem, wyrzutem strasznym. Marzenia złote prysnęły, zabite wyrazami temi, prysnęły z jękiem jakimś, ciskając mu w twarz słowo okropne—zdrajco!

Dla czego?

Henrykowi w oczach ściemniało, dłoń zimną do czoła przyłożył i rzucił okiem w roztwarte okna pokoju...

Słońce przezierало przez żółte drzew liście, drzewa parku stały milczące, z dalekiego lasu tylko stuk siekier rozchodził się w powietrzu.

Czy dęby walące się pod ostrzem toporów rzuciły ten wyraz straszny? czy ta ziemia krwawym potem ojców nabyta krzyknęła w jęk ten złowrogi?..

Myśli mu się w głowie splątały, zrozumiał znaczenie tego wyrazu...

Gniazdo ojczyste zaprzedał dla swawoli, z raję się wygnał, do którego anioł zemsty dziejowej nie wpuści już może go nigdy.

O Matko Polko! źle się twój syn bawił... brzmiało mu ciągle w duszy.

Zażkał głośno i podbiegając rzucił się twarzą na kolano śpiącej matki...

— Przebacz mi — szeptał — przebacz, ty jedyna moja! ostatnia moja!..

Plakał głośno, ale sen staruszki był silny, najmniejszym ruchem ręki nie dała synowi odpowiedzi.

Henryk głowę podniósł i spojrział w twarz śpiącej.

Leżała cicha, spokojna, z uśmiechem na ustach wybladłych, trzymając w dłoni na pół rozwinięty kwiat róży.

— Matko! — zawołał.

Ale ten krzyk nie zbudził umarłej.

Ostatnie promienie słońca dogorywały na jej twarzy blaskiem purpurowym.

Koniec powieści, powieści prawdziwej. Zakończyła się smutno, ale logika wypadków jest nieubłagana. Życie ludzkie nie jest zabawką w ślepą babkę, jest to wielka gra w szachy. w której błąd każdy pociąga za sobą następstwa konieczne. Pamiętajmy, że jutro *nie będzie nam dane*, jeśli go sami nie weźmiemy, że już dawno przestał Pan Bóg za żydów wojować, a za nas, zdaje się nie wojował nigdy.

Upłynęło lat parę. Złota ciotunia pana hrabiego uczyniła nakoniec zadość żądaniu wnuka i przeniosła się do świata lepszego, na pocieszenie głębokiego żalu, zostawiając wnuczce kilka. Panna Julja, nie była Julją Romea, nie kochała wprawdzie hrabiego, ale starą panną niechcąc pozostać, wyleczywszy się ze strasznego upadku z konia, który skończył się przedłuższą chorobą nogi mocno zbitej; straciwszy nieco wiary w serca ludzi, smutna trochę, stanęła z nim na kobiercu małżeńskim. Przeczucie hrabiego nie omyliło.

Niedawno odwiedzałem Koszlakówkę. Smutno tam, bo każda ruina jest smutną. Las wycięty do szczytu, w strumyku błotnym tylko żaby skrzeczą

po dawnemu i mówiły mi o panu Serafinie, że dzierzawi Zdechla czkę od pana Ruperta i w złote rośnie pierze, zadając kłam zdaniu, że *male parta idzie do czarta...*

A cóż Morduch?

Na pustym dziedzińcu rezydencyi niegdyś pana Henryka została tylko jedna psia buda. Dwór się spalił, nowy nabywca park piękny wyciął, bo mu pomiędzy potrzeba było, ziemię wydzierzał żydom, a sam—zdaje mi się, że do Moskwy pojechał, gdzie świcc i epoletami dwunastego pułku huzarów. Pozostała więc jedna sadyba Morducha.

Wyż opowiedziane wypadki smutno się i na nim odbiły. Nie karmiła go żadna ręka życzliwa, musiał sam wynajdywać jakieś niedogryzki wilcze, więc zmarniał do niepoznania. Kudły mu wyleciały, boki się zeszły, w jakimś boju zazartym stracił jedno oko i ogona naderwał. Często siadywał w drzwiach swego otwartego wiecznie mieszkania, dochodząc może do myśli filozoficznej, że świat to tylko na wielkiej skale—psia buda.

KONIEC.

Pisałem dnia 15, 16, 17 Sierpnia i 2 Września 1882 r. Żytomierz.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERARNICH PAN**

Biblioteka Instytutu
ul. Nowy Świat 30, Warszawa
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42



F
868